№ 49. Warszawa, dnia 22 Listopada (4 Grudnia) 1875 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH,

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ.

Starości! życia ostateczny kresie,
Przedsionku grobów, widmie mogił pleśni,
Czemuż świat cały jutrzence hołd niesie
A nikt dnia krańcom nie zanuci pieśni?
Czemuż promyczek co ledwie zaświtał
W porannej zorzy tak niepewnym brzaskiem,
Każdy bard hymnem spółczucia powitał,
A nikt z gasnącym nie żegna się blaskiem?
Promyk zwieść może choć w przyszłość bogaty,
Światło nim zbladło, ożywiło światy.

Chwytacie lutnie i nad niemowlęciem,
Nucicie piosnkę w czczem zachwytu szale,
A wiecież ile z rozwitem pojęciem
Skaz się wyżłobi na czystym krzysztale?
Źdźbło kiełkujące może zziębnąć szronem
Pychy, lub zwiędnąć wśród cieni niewiary,
Dąb choć pruchnieje jeszcze przed swym zgonem,
Sta źdźiebeł chroni swojemi konary;
Szukacie *jutra*, a jutro tak mgliste,
Gardzicie *wczoraj* choć jasne i czyste!

Chwytacie lutnie i sławicie wdzięki
Młodych piękności... O niewdzięczne syny!
Czyliż z was który wzniósł hymn dla tej ręki,
Co mu na życie dała krzyż matczyny?
Wszystko dla wiosny! a przecież pod szronem
Zimy, trzykrotnie szczęść rosły zadatki,
Przecież w tem sercu dziś przez was wzgardzonem,
Kwitł kwiat dziewicy, cześć żony, skarb matki,
Przecież nad płochych krasot wianek mglisty,
Piękniejszym wieniec starością srebrzysty!

Pruchnem wam przeszłość, przyszłość odrodzeniem,
Co będzie — wszystkiem, a co było — niczem,
Jednakże pierwsza jest faktów spełnieniem,
Druga, czczych mrzonek pryzmatem zwodniczem.
Wieki przeżyte — doświadczeń epoką,
Wieki mające się zrodzić — czczą marą,
Świat dawny wcielił się w życie głęboko,
Nowy żyć może tylko siłą starą;
Z dziadów na syny, a z synów na wnuki,
Płynęły rosnąc w potęgę nauki.

Skarb wiedzy wzmógł się, lecz ileż to kłosów
Dzieło pra-ojców do niego rzuciło,
Ileż to w pracy osiwiało włosów,
Ileż się twarzy zmarszczkami pokryło?
Niczem wam przeszłość; w swej młodzieńczej dumie
Chcecie się wyrzec wiekowej idei,
I oprzeć przyszłość na własnym rozumie,
Wznieść gmach bez wiary, miłości, nadziei;
Gmach rosą łaski nie zwilgły niebieskiej,
Postęp, u grobów kończący się deski!

Ludwik Niemojowski.

Szkice i Notatki

Z PODRÓŻY

MARYI SZELIGI.

Neapol i jego okolice.

„O dolce Neapoli!...” śpiewa z zapałem ogorzałe dziecię tego słonecznego zakątka; a dźwięki i słowa, błękity niebios i odblaski morza tak lube na wędrowcu czynią wrażenie, oko z takiemi ślicznemi widokami natury się pieści, atmosfera taką błogością przejęta, lekki wietrzyk krzewy i kwiaty tak łagodnie kołysze.... że wnet rozmarzyła się dusza obcego samotnika, uśmiech przejawił się na ustach, i ledwo przybyliśmy w progi tego uroczego miasta, czujemy że istotnie wpływy jego są słodkie i.... niemal odurzające.

Cóż to za cudny obraz, gdy wieczorem świetna kula słońca tonie w morzu promiennem, migającem w tysiączne barwy, niby rozkoszna dziewica, to wejrzeniem olśni, to uśmiechem błyśnie i zaszemrze ścicha i krucze potrząśnie sploty. Fale więc grają jak ich siostrzyce, rybackie córy na wybrzeżu, a stary grzesznik Wezuwiusz, spogląda na te swawole, i nagle zadumane czoło w mglisty turban spowija; i wspomnienia straszliwe wrą w jego łonie, niekiedy jęk stłumiony niby grzmot podziemny zahuczy, i z paszczy rozwlekłéj dym buchnie, a z ócz iskry się posypią....

Na wybrzeżu, na Santa-Lucia, gwar, śmiech, śpiewy, turkot pojazdów, chaos nieustanny. Cały *piękny świat* arystokracyi Neapolitańskiej używa przejażdżki: powabne signory wsparte o miękkie poduszki karety, zgrabni jeźdźcy popisujący się z odwagą i zręcznością, różnobarwnym i zajmującym orszakiem ciągną wśród hałaśliwej gromady lazaronów, którzy śmiałem wejrzeniem i słówkiem sięgną aż do wnętrza karet, lub złośliwym przycinkiem popędzają błyszczącego panicza, śmiejąc się potem na całe gardło z jego oburzenia. Dziwnie tu wesoła ta kasta ludzi tak nędzna przecież, że często ledwo łachmanem jednym tylko zakryta, ledwo kilką owocami na dzień cały nakarmiona... Z mandoliną w ręku, z piosnką ognistą, przepędza dnie, leżąc w rozpalonych od słońca kamieniach, i czycha na cudzoziemca, by wyzyskać odeń kilka *centesimów*. Bez troski o jutro, bez wspomnień o wczoraj, żyje chwilę obecną, wesoły jak dziecko, obojętny jak Dyogenes na niewygody, czuły i rozkochany wiecznie jak trubadur, przepadający za widowiskami i *pulcinellem*, nienawidzący wszelkiej

pracy i przymusu—oto *lazaron* włoski, typ zacierany powoli przez cywilizacyą, plaga podróżnych, uosobienie „dolce far niente.“

Ale nam nie wolno poddawać się temu leniwemu wpływowi — dalejże więc na przegląd ciekawości, osobliwości i okolic.

Osobliwości oprócz pysznego muzeum które niezmiernie wzbogaciła Pompeja, w Neapolu niewiele, chyba że nią jest samo miasto tak cudnie w amfiteatr nad morzem rozłożone... Nie znajdziem tu ani prześlicznych pałaców weneckich, ani wspaniałych ruin Rzymu, chociaż żadne miasto w świecie, wdziękiem położenia, klimatu, ruchliwością i życiem, nie może się z tym oryginalnym Neapolem, z tym ukochanym przez naturę kraikiem porównać.

Wrażenia tu odnoszone, są zupełnie odrębnych własności niż np. w Rzymie — i co do mnie, po raz drugi robiąc wycieczkę w te strony, najniezawodniej świeży zapas sił i wypoczętą wyobraźnię postaram się tu przywieźć, gdyż obecnie wyczerpana poprzedniemi podróżami, uczułam całą niemoc zmęczenia, właśnie tutaj, gdzie sam klimat obezwładnia. Pierwszy dzień niepodobieństwem mi było inaczej spędzić, jak na balkonie mego mieszkania przy ulicy Santa-Lucia, naprzeciw Wezuwiusza, na który marzyłam się dostać, rozpatrując, to malowniczą okolicę, to ludność tłumnie przesuwającą się w kierunku zwykłej promenady ku Chiao. Widowisko przypadkowo było nadzwyczajnem; gdyż z powodu dorocznego odpustu, mnóstwo osób powracało z *Capodimonte*, na wehikułach tak dziwacznie przystrojonych we wstążki, kwiaty, pióra, gałęzie i dzwonki, że pojazd i konie często przedstawiały postać całkiem nie europejskiej formy. Setki różnokolorowych chorągiewek migało w powietrzu, śpiewy i okrzyki najswobodniej ogłuszały przechodniów, a dla większego efektu, wielu rzucało pod koła swych pojazdów ładunki piorunującej masy, więc wystrzały i dym dopełniały piekielnej wrzawy, dziwnie podniecającej najmocniejsze nerwy.

Olbrzymie afisze ogłaszały przedstawienie komedyi w pięciu aktach z *Pulcinellem*; pragnąc zaznajomić się z tą ulubioną postacią, poszłyśmy tedy do... San-Carlino — teatru gminnego. Publiczności było wiele, komedya treścią swą przypominała dawną francuzką p. t. *Mąż zazdrosny*; żona przypadkiem padająca w cudze objęcia, narzeczona podejrzliwa, i zastająca u kochanka młodą panienkę, wprawdzie jego siostrę, lecz która nie chcąc narażać brata na możliwe posądzenia i nieufność, przebiera się za lokaja i idzie służyć do narzeczonej. W tem zjawia się *Pulcinello*, przywitany niezmiernemi oklaskami, osobistość zabawnie ubrana, w masce, przedstawiającej grubo-komiczny żywioł, i miesza szyki wszystkim, bo poznaje w mniemanym lokaju panienkę w której kocha się oddawna, całuje żonę zazdrosnego męża, dowcipkuje, niechcący przewraca stół i płącze się w suknie narzeczonej przyjaciela. Ztąd gwałt, wymówki, wreszcie wyjaśnienia, i... homeryczny śmiech słuchaczy, a dla nas pożądany koniec przedstawienia, bo *Pulcinello* tembardziej dla nieobznajmionych z neapolitańskiem narzeczem, nie budzi żadnego zajęcia.

Przepyszny teatr San-Carlo był w tej chwili zamknięty, lecz któż pożałuje choćby w obec najlepszego teatru, że wieczór spędzi np. na łódce mknącej cicho po fali srebrzonej blaskiem księżyca w pełni. Tysiące światełek miga po górach, rzędy latarń ognistą wstęgą opasują wybrzeża, mnóstwo łódek krąży i niewysłowiony urok nocy upięknia miasto, morze i niebo. Dla mnie nic bardziej zachwycającego nad taką wycieczkę! W mojej łodzi, dwie śliczne włoszki, córki naszej gospodyni, śpiewały tęskne canzonetty, zdala wtórowała im czyjaś ręka na mandolinie. Zwolna mknęliśmy od zgiełku miasta, tylko światła drżały nie gasnąc w morzu odbite, z gwiazdami błyszczącemi na wyścigi: tylko śpiew płynął ku stropom szafiru, ztamtąd ku nam jasne promienia księżyca... jam przytulona do ławki mej łodzi, łączyła niebo, ziemię, światła, wody, szmery i śpiewy, westchnieniem cichego zachwytu... marzeniem rozkołysanej wyobraźni... Nazajutrz, mimo wyczerpującego siły gorąca, przedsięwzięłyśmy wycieczki w okolicę. Wielki tunel groty Poselipo, odłączył nas od gwaru miasta, przebywszy go, jesteśmy już całkiem na łonie natury. I oto napotykamy jeden z jej kaprysów, fantastyczną grotę, w której wnętrzu gazy duszące zabijają w przeciągu kilku sekund psa, wprowadzonego tam na próbę. Biedna ofiara ciekawości ludzkiej, doznaje odurzenia, potem toczy pianę, drga, i.... litość widza kładzie koniec męczarni niewinnego stworzenia, wyciągając je na świeże powietrze dość wcześnie, aby je uratować.

Okolice wszędzie malownicze, roślinność bardzo bogata, lubo od słońca nieco pożółkła. Jeziora, wzgórki, groty, wszystko zdobne gajami pomarańczowemi i oliwnemi, rozweselają oko. Przybyliśmy do *Solfatarry* gdzie wabi wygasły krater wulkanu. Powozem nie można dalej jechać, a upał siły odbiera, przyjęłyśmy więc niemiły nam zrazu sposób, ofiarowany przez barczystych przewodników, że nas zaniosą w krzesłach aż na miejsce. Musiałyśmy się zgodzić, i wkrótce przebywałyśmy zarośla krzewów obsypanych żółtem kwieciem, które napełniają wnętrze byłego krateru. Ku zachodowi jest pieczara w stromej skale, czarna, straszna i dymiąca bezustannie siarczanemi wyziewami. Starożytni uważają to za wstęp do piekła. Istotnie wyobrażenie może zaludnić demonicznemi postaciami, tę ciemną grotę buchającą kłębami dymu, który osiada w wewnętrznych ścianach malując kamienie w płomienno-żółte pokłady kwiatu siarczanego. Stąpając po stwardniałej powierzchni wygasłego krateru, daje się słyszeć odgłos głuchy, zwiastujący próżnię pod spodem.

Kto wie czy kiedy martwa jego paszcza nie zionie ogniem, dymem i lawą: wszak i we wnętrzu Wezuwiusza pasły się niegdyś trzody — i nieszczęśliwa Pompeja nie przewidując swego losu, spokojnie patrzyła na sąsiada, co później ją pochłonął na wieki.

Rozmaitość własności fizycznych tego zakątka, dziwi nieprzywykłych do cudów natury. Skaliste łaźnie Nerona (Stufe di Nerone) wytworzone bez pomocy ręki ludzkiej, wielkie pieczary przepełnione zewsząd wydobywającemi się ze ścian gorącemi wyziewami siarki, znów mimowolnie nasuwają myśl o piekle. Wewnątrz podzielone na kilka większych i mniejszych korytarzy i izb, ciemne, duszące — wewnątrz stroją je kwiaty pnące się po skale, różowe dzwonki „lwiej paszczy“ i gałęzie drzew figowych ocieniają te jaskinie śmiejącym się pozorem.

W jednej z pieczar, przewodnik, prawdziwy włoch, a zatem dowcipny i podstępny, urządził nam zabawną niespodziankę: zalecił kolejno, mojej towarzyszce i mnie, przytknąć głowę do otworu znajdującego się w ścianie. Zaciekawione, zbliżyłyśmy głowy, i... odskoczyłyśmy z okrzykiem a nosy nasze żaliły się bolesnem skrzywieniem i czmychaniem... wyziew amoniaku uderzył w nie jak pięścią. Przewodnicy zapewnili nas, że to bardzo zdrowo od bólu głowy—czułyśmy jednak pewien zawrót i niezmierne gorąco w nogach; następstwa te jednak szybko minęły, a chytry włoch uszczęśliwiony był ze swej psoty.

ŚWIAT SERDECZNY

POWIEŚĆ

przez

Waleryą Marrené (Morzkowską).

(Dalszy ciąg).

Złocic po odjeździe niespodziewanego gościa, powrócił zwolna do pokoju gdzie żona czekała na niego; widok złości, podłości lub głupoty ludzkiej, czynił na nim zawsze bolesne wrażenie. A ten niedołężny starzec obsiadły przez pasożytów których lękał się i potrzebował zarówno, był dla niego obrazem słusznej Nemezys za życie źle spędzone. Nic nigdy nie uczynił dla nikogo i wzajem był opuszczony, krzywdził drugich i sam w bezsilności choroby lękał się doznać krzywdy; wynikało to z loiki wypadków i charakteru, działo się tak siłą rzeczy, a jednak fakta te były smutne. Były to zmarnowane uczucia i zdolności, co inaczej pokierowane, mogły stać się pożyteczne społeczeństwu, zarówno jak pojedyńczym indywiduom.

Usiadł w milczeniu na zwykłem miejscu i podparł czoło na ręku.

Żona przez chwilę patrzyła na niego i odgadła odrazu, że treść rozmowy z Salezym Drobińskim była niezwykłą.

— O czem tak myślisz Adamie? spytała cicho podchodząc do niego.

Podniósł głowę i spojrzał na nią głębokim wzrokiem.

— Maryniu, wyrzekł, czy wiesz że fortuna zakołatała dzisiaj do wrót naszych?

— Do naszych wrót? powtórzyła, nie rozumiejąc go dokładnie.

— Tak jest, Drobiński chciał zapisać mi cały majątek.

Mówił to tak spokojnie, iż żona spytała z rodzajem niedowierzania.

— A ty?...

— A ja nie przyjąłem.

Nastała chwila ciszy.

— Musiałeś, rzekła znowu kobieta, mieć do tego słuszne powody.

— Tak jest, inaczej nie odrzuciłbym nigdy materyalnej potęgi, za pomocą której tyle zdziałać można. Bo dla nas Maryniu niewiele potrzeba, nieprawdaż?

— Nie wiele, to co mamy wystarcza nam aż nadto.

— Więc dobrze uczyniłem, zdawało mi się iż nie potrzebuję w tym względzie naradzić się z tobą, wiedziałem że pomiędzy nami jest jedno tylko zdanie.

— Ty zawsze dobrze robisz, odparła z przekonaniem.

Uśmiechnął się łagodnie.

— Doprawdy Maryniu, gotowaś tym sposobem wmówić we mnie nieomylność, do której nie mam najmniejszej pretensyi.

— Adamie! zawołała, sterowałeś dotąd tak dobrze łodzią naszego życia, iż ja muszę zaufać ci we wszystkiem.

Wstrząsnął głową z pewnym smutkiem.

— A jednak omyliłem się w najważniejszym punkcie, wyrzekł zwolna, nie umiałem wychować syna na człowieka. Może kochałem go zanadto, może zbyt zaufałem sobie, sądząc że to co mnie starczyło, co mnie uczyniło szczęśliwym, jemu także wystarczyć powinno.

Mówiąc to, odkrywał skrytą niezgojoną nigdy ranę swego serca, a serce matczyne odpowiedziało mu jak echo.

— Czyniliśmy cośmy sądzili być dobrem.

— To nie dość Maryniu, są rzeczy w których nie wolno się omylić, co do nas, cierpienie nasze jest słuszną karą, ale cóż winno społeczeństwo któremu przygotowaliśmy nieużytecznego członka? Ono ma prawo upomnieć się o to.

Kobieta westchnęła ciężko załamując ręce. Złocic wyrzekł znowu:

— Zasmuciłem cię niepotrzebnie Maryniu, przebacz mi, chciałem mówić o czem innem, ale Feliks zawsze powraca mi na usta.

— Powiedz mi więc, dodał po chwili zmieniając ton rozmowy, że nie żałujesz odpowiedzi danej Drobińskiemu.

— Objaw mi naprzód powody twoje, odparła łagodnie.

— Masz słuszność, słuchaj i osądź. Majątek Drobińskiego był źle nabyty, ciąży na nim krzywda sieroca.

— Skoro wiesz do kogo powinien należeć, mogłeś go zwrócić po jego śmierci.

— Wolałem żeby Drobiński sam to uczynił, poznał swoje winy i starał się poprawić, niż przyjmować na siebie rolę jakiegoś bohatera bezinteresowności.

— To prawda ty myślisz o wszystkiem mężu, i wszystko umiesz przewidzieć.

— A jednak Maryniu, gdyby nawet nie istniały przyczyny które daję, jeszcze propozycya zapisu uczyniona mi przez Drobińskiego, byłaby kłopotliwą dla mnie.

Mówiąc to patrzał w oczy żonie, jakby pragnąc by go odgadła.

— Rozumiem, szepnęła, myślałeś o Feliksie.

— Pomijam już, ciągnął dalej Złocic, współzawodnictwo z temi Schmucami, to przyjąłbym bez wahania, choćby dla tego, by poczciwa ziemia nasza nie przechodziła w podobne ręce, choćby dla tego, by podobni ludzie nie odnosili tryumfu brudnemi zabiegami, ale znajduję że jeśli jest jeszcze droga ratunku dla naszego dziecka, drogą tą jest konieczność pracy ciążąca nad nim. Chociaż buntuje się i zżyma przeciwko niej, tam tylko jest moc uleczająca na chorobę która go trawi, tam albo też...

— W czem? zapytała kobieta, która zdawała się chwytać na ustach jego niewymówione jeszcze słowo nadziei.

— W miłości, odparł Złocic, gdyby był w stanie pokochać prawdziwie.

Żona spuściła smutnie głowę, przypominając sobie bowiem rozmowę ostatnią z jedynakiem, mniej jeszcze od ojca wierzyła w możebność tego środka ratunku.

— Ludzie co z góry z rachunków życia odrzucają miłość, mówił Złocic, zdolni są tylko zakochać się znienacka, przypadkiem, a taka namiętność nie daje rękojmi trwałości ani szczęścia. Chybaby spotkał na drodze swojej kobietę uzbrojoną do walki życia, kobietę z sercem nieskalanem i rozwiniętym umysłem, któraby podbiła go siłą wyższości swojej. Ale takich jest mało na świecie. W dzisiejszym stanie społecznym, kochanki i żony nasze sami wyrabiać musimy, dla tego tyle zwichniętych małżeństw, tyle szczęść ludzkich zniszczonych w zarodku.

— A czy taka kobieta, spytała półgłosem Marya, kochałaby naszego syna.

— Mniejsza o to, czyby go kochała, byle on pokochał, mówiłem tylko o ratunku nie zaś o szczęściu jego.

— Ależ onby cierpiał! zawołała matka.

— Ztamtąd gdzie on zaszedł Maryniu, nie powraca się bez cierpienia, czy sądzisz jednak że dziś Feliks jest szczęśliwy?

Wiedziała że tak nie jest i znowu uznała głęboką mądrość męża; teraz jak zawsze miał słuszność. Omyłek w życiu nie popełnia się bezkarnie, błędy, rady i grzechy swoje syn jej odcierpieć musiał, lub brnąć dalej drogą którą wybrał a na której ostatecznym końcu była nieuleczona rozpacz spowodowana moralną nicością. Na myśl tę krwawiło się serce matczyne. A gdyby okiem ducha zniweczyć mogła przestrzeń i zobaczyć syna, niezawodnie trwogi by jej wzrosły jeszcze.

Właśnie o tej godzinie młody doktór powrócił do siebie z przechadzki, na której towarzyszył pani Pelagji i jej córkom, i z rodzajem znużenia czy niechęci ogólnej, rzucił się na wygodną kanapkę, wybitą ciemno karmazynowym utrechtem.

Mieszkanie które zajmował przy jednej z głównych ulic, było skromne, przynajmniej on je uważał za takie, w stosunku do tego którego zapragnął. Pomimo to jednak, komorne przy obecnej warszawskiej drożyznie, przenosiło o wiele roczną pensyę, dawaną mu przez rodziców.

On mniejszem obejść się nie mógł, potrzebował olśnić od razu pacyentów, rzucić im się w oczy, by uzyskać stosowne wynagrodzenie za swoją pracę i naukę. Dla tego też lokaj siedział w przedpokoju nad wielką księgą w której miał zapisywać żądania odwiedzin, a skrzynka do listów umieszczona we drzwiach, ułatwiała mu jeszcze tę czynność. Na teraz jednak funkcye księgi i skrzynki były czysto honorowe, daremnie lokaj siedział na swojem miejscu z piórem w ręku, daremnie sam Feliks otwierał dwa razy dziennie swą skrzynkę, tak księga jak i skrzynka nie utraciły dotąd dziewiczego charakteru. Jedna nie zawierała żadnego nazwiska, druga żadnego listu. Pacyenci jak nie przybywali tak nie przybywali, pomimo licznych ogłoszeń w dziennikach i kilku nawet dziękczynnych artykułów, napisanych pod rozmaitemi pseudonimami, przez samego Złocica.

Widocznie reklama zarówno czynna jak i piśmienna, była niedostateczną by zwalczyć wzrastającą zewszą konkurencyę: nad tym smutnym faktem Feliks rozmyślał z wzrastającą goryczą. Bo czyż się godziło by młody i ładny doktór (o tym naczelnym przymiocie swoim nigdy nie zapominał) zaledwie zdołał nędznych kilka rubli zarobić, pomimo złocistej blachy wywieszonej nade drzwiami, pomimo apartamentu, lokaja, skrzynki do listów i eleganckich mebli, dostarczonych na kredyt przez usłużnych synów Izraela.

Za to niepowodzenie miał on żal do całego świata i zamiast winy szukać w mylnem wyrachowaniu, które mu kazało odrazu stroić się w pożyczany zbytek, i sadowić wśród bogatej dzielnicy miasta, gdzie najmniej miał szansy znalezienia pacyentów, bo każden prawie zamożny mieszkaniec, posiada zaufanego doktora, i nie chce powierzać największego skarbu swego — zdrowia, w niedoświadczone ręce, gdy tymczasem ubodzy daleko mniej są wybredni w tym względzie, młody Złocic wolał obwiniać kraj, społeczeństwo, co się na nim poznać nie umiało, a nadewszystko rodziców, którzy nie dali mu materyalnych środków do życia, i tak samo jak Bóg pierwszego człowieka skazali na pracę.

Wprawdzie na pewien rodzaj pracy, Feliks byłby się zgodził z ochotą, żeby tak naprzykład bankier mieszkający na pierwszem piętrze przeciwległego pałacu zachorował nagle, i wezwał go do siebie. Młody doktór byłby się z rozkoszą *poświęcił* dnie i noce spędzać w jego apartamencie.

Żeby chociaż ten kupiec z drugiego piętra przysłał po niego... ale nie, jedyni pacyenci jacy od czasu do czasu zgłaszali się tutaj, to biedna wyrobnica mieszkająca w głębi ostatniego dziedzińca, prosząca ze łzami by ratował jej chore dziecko, lub ubogi rzemieślnik z poddasza.

Podobnych pacyentów zwykł był przyjmować z roztargnieniem ludzi upadających pod nawałem zatrudnień, których każde słowo i każda chwila czasu powinna rachować się na wagę złota; odpowiadał im krótko i z góry, tak że odstraszeni jego mniemaną wielkością po pierwszej próbie nie pokazali się już więcej.

Cisza więc i samotność zalegałaby bezwątpienia apartament młodego doktora, gdyby zamiast pacyentów, nie zgłaszali się coraz częściej wierzyciele. Przekonywali się oni także swoim kosztem, że komedya pozorów nie jest już tak bezpieczną spekulacyą, jak to kiedyś bywało, bo aksamitne meble, zegary, konsole, lustra i obrazy rozwieszone po ścianach, nie sprowadziły tutaj wcale owej złotej rzeki, o której na współkę z Feliksem marzyli.

Młody doktór nieraz smutny i zamyślony, spoglądał na ulicę i widział jak przed pałac bankiera zajeżdżały karety jego sławnych kolegów, a wówczas zdarzały się chwile zniechęcenia, w której życzył z całego serca, by wszyscy luminarze nauki lekarskiej w Warszawie, syci sławy i dostatków, przenieśli się czemprędzej do wieczności lub przynajmniej zaniechali męczącej praktyki, zdając życie i zdrowie bliźnich na młodszych kolegów, świeżo wyszłych z uniwersytetu.

A ponieważ życzenia ludzkie są nieskończone, na tem nie ograniczały się pia desiderata pana Feliksa, i jeśli z jednej strony pragnął usunąć z drogi swojej współzawodnictwo wszystkich wziętych doktorów, z drugiej byłby z rozkoszą zamknął wydział lekarski, ażeby nie wychodził zeń corocznie nowy zastęp nieproszonych kolegów. Widocznie miał on tak słabe wyobrażenie o samym sobie, lub też tak skromnie cenił swoje siły, iż za jedyną szansę powodzenia uważał zupełny brak konkurencyi.

Nieraz więc w godzinach przeznaczonych dla przyjmowania pacyentów, które zwykle spędzał rozciągnięty na sofie w towarzystwie wiernego cygara, puszczał w górę regularne kółka dymu. Posiadał bowiem ten niewinny talencik, nabyty jeszcze na ławkach szkolnych, posunięty do ostatnich granic możliwej doskonałości, a razem z temi sinemi kołami ulatywały marzenia pana Feliksa.

Marzenia te, jak widzieliśmy były okrutne, dążyły ni mniej ni więcej jak do eksterminacyi wszystkich uczni Eskulapa, bez żadnego względu na cierpienia ludzkości, jakie z tego powodu zwiększyć się mogły. Dokonawszy jednak w myśli tej eksterminacyi na którą co prawda praktycznego środka trudno było wynaleść, pan Feliks widział się w myśli prowadzonym w tryumfie do owego bankiera, co swoim zbytkowym apartamentem, lustrzanemi szybami w oknach, koronkowemi firankami, nęcił tak srodze biednego doktora. Zoczył go więc w niebezpiecznej chorobie, uratował mu życie, i w zamian mógł czerpać złoto w jego kasie, mógł zasiadać jako upragniony gość przy jego stole, jeździć jego karetami, a w końcu kto wie czy jedyna córka bankiera, której sylwetka rysowała się czasami niewyraźna na balkonie pierwszego piętra, wśród egzotycznych kwiatów, jakie go przepełniały, nie oddałaby mu ręki i serca. Ma się rozumieć, że Eligija nie przeszkadzała mu snuć tych złoto-miłosnych marzeń; nie jednoczył, jak to często się we snach wydarza, obrazu narzeczonej z obrazem córki bankiera. Przeciwnie, jeśli jaka postać utkwiła mu w wyobraźni, jeżeli rzeczywiście szukał swoich podstaw w realnym świecie, to dziwnym fenomenem daleko częściej Stasia powracała mu do pamięci.

Widział ją zaledwie parę razy, rozmawiał z nią zaledwie jedną chwilę, ona ani go szukała ani zdawała się unikać, ale właśnie ta zupełna obojętność drażniła pięknego doktora, i nie wiedzieć prawdziwie dla czego myślał o niej nieustannie, i córkę bankiera ubierał w jej kształty bez względu na ubogą sukienkę od której Stasi rozdzielić nie mógł i na tę skromną i hardą razem powierzchowność.

Marzeniom nikt nie zdoła postawić granicy, pan Feliks mógł więc swobodnie snuć tę złotą nadzieję, na której zrealizowanie brakło tylko tej jednej maleńkiej rzeczy, aby wszyscy doktorzy jacy są, byli i będą zniknęli nagle ze świata. Wszyscy, byłoby to za wiele powiedzieć, pan Feliks nawet nie był tak bezwzględnym, i pozwolił na egzystencyę kilku i kilkunastu kolegów, byle ci nie wchodzili mu w drogę.

Miał zresztą wielki czas zapuszczać się w te rozmaite kombinacye bo w koło niego była cisza i samotność, gdy niespodzianie głos dzwonka rozległ się w przedpokoju.

Feliks podniósł się na wpół na kanapce i nastawił ucha. Dzwonienie pewne i śmiałe zwiastowało kogoś, co nie potrzebuje sobie robić ceremonji ani zadawać sobie żadnego przymusu, a więc kogoś co może zapłacić. Kto wie czy nie był to właśnie wypadek gwałtownej choroby którego z bogaczy, może nawet owego bankiera, na jaki od tak dawna oczekiwał w cichości serca. Z drugiej strony mógł to być po prostu wierzyciel: ci ludzie zazwyczaj nie mają żadnej delikatności, i wszędzie wchodzą jakby do siebie.

Do oczekiwania więc młodego doktora mieszała się pewna obawa. Tym razem jednak ta okazała się płonną, po chwili drzwi od gabinetu otworzyły się z trzaskiem i wszedł a raczej wpadł kolega jego z uniwersytetu jak on, pospolicie zwany Lusiem.

Od jakiegoś czasu młodzi ludzie stracili się z oczów przecież Feliks ujrzał go z przyjemnością. Luś należał do tej małej liczby lekarzy na których egzystencyę pozwalał w duchu, nie mógł go bowiem niczem przyćmić. Luś był ubogi, brzydki i w ogóle wśród grona kolegów, nie odznaczał się żadnym szczególnym darem ani zdolnością, prócz niewyczerpanego dobrego humoru, trącącego nieraz egoizmem.

Na powitanie go pan Feliks powstał z powagą jakiej wymagało położenie społeczne, które pragnął zajmować a którego widomym znakiem był otaczający go zbytek.

— Ho ho, zawołał Luś nie zmieszany tem wcale, jak widzę świetnie ci się powodzi, apartament, lokaj, aksamity, bronzy...

I oglądał się w koło kręcąc głową z nieudanym podziwem.

— Cóż chcesz, odparł Złocic niedbale, przecież uczyliśmy się i pracowali na to.

— Zapewne, zapewne, jednak nie każdemu tak szczęśliwie idzie jak tobie, ja naprzykład, nie mam ani dziesiątej części tych pięknych rzeczy.

Pan Feliks wyprostował się nieznacznie, jak gdyby chcąc dowieść swoją osobą i postawą, że mu się to wszystko z prawa należało.

— Twój służący powiedział mi żeś bardzo zajęty, mówił dalej Luś, spoglądając dokoła dobrodusznie, jak gdyby szukał widomego znaku jakiejbądź pracy kolegi, i znaleść go nie mógł. Cóż u licha robiłeś?

— Myślałem — to jest — chciałem odpocząć trochę, odparł czerwieniąc się Feliks, który przeklinał w duchu swoją nieoględność. Łatwo mu było bowiem otworzyć przed sobą jedną z tych grubych książek co leżały na półce, dla nadania powagi jego gabinetowi.

— Rozumiem, spałeś po prostu, roześmiał się Luś.

— Bynajmniej —ale cóż ty porabiasz? gdzież przebywasz? zkąd się zjawiasz? pytał Feliks chcąc zmienić rozmowę.

— Ja, zwyczajna rzecz, wyjechałem na prowincyę.

— No i jakże ci tam idzie, mówił Feliks przybierając coraz widoczniej ton protekcyjny.

— Ha, nie źle, ma się rozumieć nie tak jak tobie, ale już ty to zawsze byłeś ulubieńcem losu.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

z Niemiec.

Upadek handlu i przemysłu. — Kongresa amatorów ptastwa w Lipsku.—Stowarzyszeń w Monachium.— Reforma monetarna.—Dwiestoletnia rocznica bitwy pod Fehrbellin.—Pomnik dla elektora Fryderyka Wilhelma.—Inauguracya posągu Arminiusza w lesie Teutoburgskim.—Uroczystość strzelnicza w Sztutgardzie.— Uroczysty pochód w strojach średniowiecznych.— Zamiar ujednostajnienia pisowni.—Nowy romans Leopolda Kompert *Wśród ruin.*— Czwarte wydanie *Córki króla Egiptu*, Ebera. — Karola Freicher *Pod jodłami i sosnami.* — *Trzy miasta* Alberta Stutzer.— *Własta* Fryderyka Karola Schuberta.—*Gourret-ul-Eyn* panny Maryi Najmajer.— *Karol Zuchwały* komedyjka Aleksandra Landesberg.— *Honor za honor* dramat Pawła Heyse.—*Hermanowska bitwa*, tragedya Kleist'a.— *Bankructwo* dramat Biornson'a.—Dzieło p. Landres *Głosy zwierząt.*—Muzeum wschodnie w Wiedniu.— Wystawa ziemniaków w Altenburgu.

„Marzyłem słodko, gorzko mnie zbudzono” tak powtarzać sobie mogą całe Niemcy i każdy w szczególności handlujący i przemysłowiec. Począwszy od 1872 roku, sprawozdania Izb handlowych wykazują coraz większy upadek handlu i przemysłu, coraz większą liczbę bankructw i ogólne zubożenie, a sprawozdania uniwersytetów rok rocznie zmniejszającą się liczbę uczni. Jaki będzie koniec tego wszystkiego, któż to może przewidzieć.

Jednakże, Niemcy mogą się poszczycić coraz większym rozwojem kongresów. W Wiesbaden, kongres restauratorów i właścicieli hotelów, postanowił zawiązać stowarzyszenie konsumpcyjne w celu sprowadzania na wspólny użytek: kawy, herbaty, ryżu, cukru, oliwy, świec, węgla i t. p. W Lipsku zgromadzenie amatorów i zajmujących się chodowaniem ptastwa postanowiło założyć stowarzyszenie lubowników ptasiego rodzaju. Niewinny ten kongres wydał postanowienia odnoszące się do uregulowania sprzedaży ptastwa, ekspedycyi poczty gołębiej, nomenklatury nazw niemieckich i łacińskich wszelkich upierzonych stworzeń, oraz projekt prawa międzynarodowego opieki nad ptastwem.

Ważniejszym był kongres stowarzyszeń w Monachium. Lat temu dwadzieścia pięć, Schultze założył w Delitsch pierwsze stowarzyszenie wzajemnego kredytu, i jak wiadomo ten rodzaj współek najlepiej zaaklimatyzował się w Niemczech. Reformatorowie utrzymujący że kwestye społeczne dadzą się rozwiązać w dwadzieścia-cztery godzin przez proste wydanie odpowiednich rozporządzeń, stawiają Schultzego na bardzo podrzędnem stanowisku ekonomicznem, lecz kto rozumi, że wszelki postęp i dobro zdobywa się powoli i stopniowo, przyznać musi że podobne stowarzyszenia są ziarnem mającem kiedyś bogate wydać plony. Pojęli to dobrze Niemcy, i dziś liczą już 4,383 takich stowarzyszeń. W roku zeszłym było 3,936, w przeciągu zatem roku przybyło 447. Liczba członków stowarzyszonych wynosi 1,350,000, tak więc odnośnie do ludności całych Niemiec, wypada na każde 7 rodzin jeden prawie stowarzyszony.

Inne stowarzyszenia nie przyjmują się równie pomyślnie na niemieckim gruncie. W Anglji np. przeważają stowarzyszenia spożywcze, w Niemczech daleko lepiej rozwijają się kredytowe. Stowarzyszeń spożywczych jest w ogóle tylko 1,089. Najmniej liczne są stowarzyszenia produkcyjne, które we Francyi tak wielkiem cieszą się powodzeniem i tak świetną mają przed sobą przyszłość. Na tem kończę o kongresach, gdyż wyliczać wszystkie: doktorów, przyrodników, archeologów etc. etc. i opisywać ich narady, całe tomy zapisaćby można.

Reforma monetarna której korzyści tak wysławiano, dotąd ten tylko wywołała skutek, że złoto prawie znikło z obiegu. Wartość nowej monety zapewnia pewne korzyści spekulantom, to też zaledwie się pojawi bankierzy wykupują ją natychmiast i wysełają do Anglji i Belgji, gdzie obecnie dają 4 do 5 fr. zysku na tysiącu. Powszechnie utrzymują, że ten nieustanny wywóz złota może zmusić rząd pruski do puszczenia w obieg monety papierowej.

Dwiestoletnia rocznica bitwy pod Fehrbellin w okolicach Poczdamu obchodzoną była z wielkim przepychem i uroczystością. Z okolic, na kilka mil do koła, poschodzili się mieszczanie i wieśniacy do małej wioszczyny Hakenberg, aby być widzami uroczystości której przewodniczył następca tronu.

Obchód rozpoczął się otwarciem małego kościołka ewangielickiego, wzniesionego kosztem cesarza, pocztem książę z całą świtą udał się na miejsce gdzie postanowiono wznieść pomnik na cześć księcia elektora brandeburgskiego, zwycięzcy Szwedów. Po drodze wznosi się inny pomnik poświęcony pamięci wiernego Forbena. Jest to wielki kamień stojący na podstawie granitowej, a po obu stronach wyryte są nazwiska bohaterów tej bitwy. Od strony północy stoi napis: „Fryderyk, wielki elektor, przyszedł, zobaczył i zwyciężył, d. 18 czerwca 1675 r.” Od południa czytamy: „Tu, dzielni żołnierze brandeburgscy rzucili podstawy przyszłej wielkości Prus.”

Nowy pomnik wzniesiony kosztem państwa, stoi na tem samem miejscu gdzie wielki elektor Fryderyk-Wilhelm stał w dzień bitwy na swoim legendowym białym koniu.

Te wojskowe uroczystości, rocznice zwycięztw, przeglądy, parady etc. etc. sypią się jak z rogu obfitości. I tak, nie dawno w Wrocławiu „król-żołnierz“ zaszczycił obecnością swoją wojenne i patryotyczne uroczystości, które, zwyczajem niemieckim, zakończyły żywe obrazy przeznaczone do podbudzania szowinizmu pruskiego. Z tych najcelniejsze były: „Wymarsz ochotników wrocławskich w 1813 roku i obraz allegoryczny przedstawiający: Germanię, Bawaryę i inne annektowane kraje przybrane w swoje herby i barwy i tworzące piękną gruppę, uosabiającą bratni związek państw niemieckich pod zwierzchnictwem Prus. Łatwo się domyśleć że na przedstawicielkę Prus wybrano najwyższą i najpiękniejszą damę, a wysoki śpiczasty kask jaki miała na głowie, ułatwiał jej jeszcze górowanie nad towarzyszkami.

Mówiąc o uroczystościach będących objawem ducha germańskiego, nie mogę pominąć inauguracyi posągu Arminiusza w lesie Teutoburgskim, o sześć kilometrów od miasta Detmold, stolicy małego księztwa Lippe, na pagórku gdzie według twierdzeń uczonych niemieckich, Tacyt wskazuje „Saltus teutoburgensis“ gdzie były wyrznięte trzy legiony Varusa. Nie zważając na zaprzeczania uczonych innych narodowości, tu stanął posąg Arminiusza, dłuta sędziwego rzeźbiarza von Bandel. Cały pomnik kosztuje 340,000 talarów; snycerz nie żądał żadnego

wynagrodzenia za swoją pracę. Cesarz Wilhelm dał 10,000 talarów, cesarz austryacki 1,082, książęta niemieccy 13,500, prywatni 37,500; Niemcy osiedli za granicą 1,500, reichstag zagłosował 10,000 talarów. Na dziesięciu grubych czworokątnych kolumnach połączonych łukami, wznosi się kopuła na której stoi posąg Hermana, 55 stóp wysoki, a jeźli wziąść w rachubę rękę podniesioną ze szpadą, wysokość wyniesie 85 stóp. Kopuła unosi się 95 stóp po nad ziemię. Na tarczy Arminiusza wyryte są rozmaite legendy i napisy wynoszące do zenitu chwałę jedności niemieckiej. Spojrzenie Hermana zwraca się ku południo-wschodowi, jak tłomaczą komentatorowie „w stronę zkąd łupieżcy Rzymianie i zuchwali Gallowie, zagrażali często ojczyźnie niemieckiej."

Z pomiędzy licznych napisów zdobiących kopułę, przytaczamy wyryty pod popiersiem cesarza Wilhelma: „Ten kto potężną prawicą połączył rozdzielone plemiona niemieckie, kto obalił potęgę wiarołomnych Welchów (Francuzów) kto powrócił cesarstwu niemieckiemu dawno utraconych synów (Alzatów i Lotaryngczyków) ten równy jest oswobodzicielowi Arminiuszowi. Dnia 17 lipca 1870 r. Napoleon cesarz Francuzów, wypowiedział wojnę Prusom; wszystkie niemieckie plemiona zerwały się do broni, i od sierpnia 1870 r. do stycznia 1871 ukarały zuchwałą pychę francuzką, odnosząc cały szereg świetnych zwycięztw pod dowództwem króla pruskiego, którego lud niemiecki okrzyknął swoim cesarzem, dnia 18 stycznia 1871 r."

Oto drugi napis:

„Dla tego jedynie że naród został zwelchizowany (zfrancuziały) i ubezwładniony przez podziały, Napoleon Buonaparte, cesarz francuzki, zdołał, z pomocą Niemców, ujarzmić Niemcy; lecz gdy w r. 1813 wszystkie plemiona niemieckie połączyły się około sztandaru i oręża podniesionego przez Prusy, wyzwoliły ojczyznę z haniebnego ucisku i wróciły jej wolność."

Dzięki temu duchowi militaryzmu, uroczystości strzelnicze w Niemczech stały się prawdziwie ludowemi uroczystościami i noszą całkiem odrębny charakter, niż wszelkie zwane ludowemi w innych krajach. Przed kilku tygodniami, Stuttgard, stolica Wirtemberga, przybrała domy swoje od dołu do szczytu chorągwiami i girlandami, aby godnie przyjąć gości swoich, to jest strzelców belgijskich, austryjackich, tyrolskich, saskich, i t. d., i t. d. Sama Szwajcarya wysłała przeszło 2,000 najbieglejszych swoich „przedziurawiaczy tarczy" jak ich nazywają żartobliwie.

Dzięki zamiłowaniu w malowniczości cechującem Szwabów, uroczystość przybrała nader świetną barwę; warto było przybyć zdaleka choćby tylko dla zobaczenia defilady całego szeregu udającego się na miejsce wyznaczone do strzelania. Wzdłuż ulic na których powiewały różnobarwne chorągwie, między domami przybranemi w kwiaty, w pośród niezliczonych tłumów w świąteczne przybranych szaty, postępowali uczniowie zakładów gimnastycznych, muzykańci należący do różnych stowarzyszeń, strojni w świetne ubiory, heroldowie przybrani jaskrawo według wzorów średniowiecznych i t. p. Dalej grupy wieśniaków i wieśniaczek przybranych w strój narodowy, świetny i oryginalny, przedstawiały zbiór typów z Czarnego-Lasu i z Alp, jakie dziś zaledwie można spotkać w obrazach rodzajowych malarzy szkoły Düsseldorfskiej. Za niemi postępował hufiec historyczny przypominający uroczystość strzelniczą z r. 1560, chorążowie z chorągwiami, rycerze, szlachetni koniuszowie, giermkowie, paziowie, a za nimi halabardziści i służba, a wszystko to odtworzone z archeologiczną ścisłością. Dalej ciągnął wóz tryumfalny wiozący sztandar stowarzyszenia strzelców; wóz ciągniony był przez cztery siwo-jabłkowite rumaki a poprzedzał go herold na koniu. Po za wozem postępowały deputacye, straż honorowa, stowarzyszenia miejskie i nareszcie przeszło 7,000 strzelców, których lud powitał głośnemi wiwatami. Przyznać trzeba że takie uroczystości są prawdziwie ludowe, i kto widział jedną tylko, łatwo pojmie zapał jaki one wzbudzają po za Renem.

Wielka sala w której odbywał się bankiet, rozdanie nagród i przemowy, miała blisko 350 stóp długości a 150 szerokości; mogło się w niej pomieścić 4.000 osób. Zaraz w pobliżu mieścił się zakład piwa, w którym odrazu 1,000 osób mogło się raczyć ulubionym swoim nektarem. Kuchnie, rondle i inne naczynia kuchenne, przedstawiały równie kolosalne rozmiary. Wszystkie prawie miasta europejskie i ze wszystkich części świata gdzie tylko znajdują się Niemcy, ponadsyłano rozmaite nagrody za najcelniejsze strzały.

I tak. Niemcy z Konstantynopola przysłali dwa najpiękniejsze kobierce tureckie, z Filadelfii bilet I klassy na jazdę koleją na Wystawę powszechną tam i napowrót, z Singapoor wazon misternie cizelowany, z Palermo tarczę mozajkową, z Odessy czarę szczero-srebrną, z Krefeld płaszcz aksamitny i suknie jedwabne, z Berlina wazon srebrny z herbami miasta. Król wirtembergski ofiarował serwis do kawy wartości 3,000 marek, a książę Eugeniusz wirtembergski serwis stołowy i dwa wazony wartości 1,400 marek. Wyliczyłem zaledwie jedną setną część nagród.

A ileż to wypowiedziano mów patryotyczniejszych jedna od drugiej, a nieodmienną ich treścią była jedność niemiecka, odwaga niemiecka, oręż niemiecki, braterstwo niemieckie etc. Jednego dnia było ulubione niemieckie przedstawienie żywych obrazów historycznych, jako to: Fryderyk Rudobrody spostrzegający wybrzeża Syryi; odwiedziny Karola-Augusta i Goethe'go w Karlsschule, i nakoniec ukoronowanie Wilhelma I-go w Wersalu na cesarza niemieckiego.

Niemcy tak są trawieni gorączką jedności a raczej może ujednostajnienia, iż poważnie rozmyślają nad ustanowieniem jednostajnej pisowni cesarstwa, zarówno jak postanowili wspólną organizacyę wojskową dla całej Konfederacyi północnej. Lecz, niestety! w przedmiocie pisowni i języka nie wystarcza chęć i nawet najsilniejsza wola, rozbijają się one najczęściej o moc nawyknienia.

Ani słowa że następują pewne zmiany w pisowni niektórych wyrazów, ale najczęściej idzie to jakby za modą i nie wiedzieć czemu ją przypisać. Nie więcej jak lat 50 zawsze prawie imię własne „Niemiec" pisano *Teutsch* zamiast *Deutsch*, dziś tylko zapleśniałe oryginały zachowali *t* zamiast *d*. Język niemiecki ma tę wielką zaletę, że wszystko prawie tak się pisze jak wymawia, co nadzwyczaj ułatwia naukę, najlepiej więc byłoby dać pokój pisowni a wziąść się lepiej do potrzebniejszej i więcej narodowej reformy, to jest oczyszczenia go ze wszystkich wyrazów cudzoziemskich, a przeważnie francuzkich.

Jeszcze za czasów Ludwika XIV gdy gallomania ogarnęła całe wyższe społeczeństwo niemieckie, wprowadzono w użycie cały słownik wyrazów francuzkich. Następnie w r. 1813 wytworzyła się gwałtowna reakcya przeciw galicyzmowi, ale w ostatnich znowu czasach, przed samą niemal wojną, mnóstwo wyrazów i zwrotów francuzkich wkradło się do języka niemieckiego, i napotyka się je co chwila w mowie, w gazetach i pismach ulotnych a nawet w poważnych książkach. Można pojąć i nawet wybaczyć wprowadzenie wyrazów cudzoziemskich jeźli mamy opisywać wynalazek, jakiś przedmiot czy zwyczaj właściwy wyłącznie jakiemuś ludowi i t. p., ale czemże da się wytłómaczyć użycie wyrażeń cudzoziemskich którym równoznaczne można znaleść w mowie ojczystej, jak to ma miejsce w Niemczech? Wprawdzie teraz utworzyła się liga pisarzy, wrogów Francyi, pragnących wyrugować wszelkie francuzkie wyrażenia, ale mimo to pełno ich w tegoczesnej literaturze, której pobieżny podam przegląd.

(*d. n*).

WSPOMNIENIE Z ARMENII

Alberta Eynaud

wolny przekład z francuskiego

PRZEZ

Teresę Jadwigę.

I.

O kilka mil od jeziora Wan, na drodze wiodącej z Taurisu do Erzerum leży dolina ocieniona staremi dębami, którą przerzyna bystry strumień.

W dolinie tej zatrzymało się kilku podróżnych europejczyków powracających z Persyi. Jednym z nich był pułkownik Gordon Stowart, odwoził on swą kuzynkę pannę Łucyę Blandemer, oraz jej towarzyszkę a raczej opiekunkę, osobę poważną już wiekiem do Anglji. Towarzyszył im jakiś urzędnik z państwa ottomańskiego, Tigranes, rodem armeńczyk, oraz kilku służących, którzy uzupełniali karawanę.

Łucya liczyła obecnie lat dwadzieścia dwa; w dziecinnych jeszcze latach straciła matkę, ojca jakby też nie miała, wysłany do Indyi, pułkownik Blandemer rzadko kiedy odwiedzał Anglję, a dziecię jego jedyne chowało się w domu brata nieboszczki jego żony, zacnego szlachcica z hrabstwa Westermorland, który małej Łucyi zostawiał wszelką swobodę, pieścił ją i dogadzał dziecinnym zachciankom, lecz o wychowaniu jej nie wiele myślał. Szczęściem dla sieroty, w domu tym znajdowała się daleka krewna dziedzica Westermorlandu, pani Morton, wdowa od lat kilku, ta nie mając żadnych obowiązków, zajęła się gorliwie wychowaniem Łucyi, z którą lubo dalekie zawsze jednakże pewne łączyły ją węzły pokrewieństwa. Pod opieką tej zacnej kobiety, Łucya wychowała się szczęśliwie: żywa, serdeczna, trochę marzycielka, miała dobre serce i duszę szlachetną, ale była przy tem nieco samowolną i nieco płochą, do czego przyczyniła się zapewne zbyteczna pobłażliwość wuja.

Gdy do tych przymiotów dodamy jeszcze, iż miała figurkę zręczną, wzrost wysmukły, cudne błękitne oczy i jasne blond włosy, że była piękną jednem słowem, lubiła muzykę, stare legendy, poezyę i opowiadania nadzwyczajnych przygód podróżnych, co zdradzało w niej poetyczną duszę, nikt zapewne się nie zdziwi, że Łucya Blandemer mając lat dwadzieścia dwa już w niejednem sercu obudziła żywsze uczucie. Roku 1859 pułkownik Blandemer mianowany adjutantem jeneralnym, wysłanym został w jakiejś missyi politycznej do Persyi. Łucya nie znała Persyi, czytała wszakże o niej wiele, zapragnęła poznać ją przeto bliżej; tęsknota za ojcem którego już dawno nie widziała ciągnęła ją przytem w tamte strony, namówiła zatem panią Morton i obie nie namyślając się długo, puściły się w daleką podróż do Taurisu, miejsca pobytu pana Blandemer.

Bujna wyobraźnia Łucyi, opierając się na tem co czytała o Persyi, tworzyła cuda o tym kraju, tymczasem rzeczywistość ukazała jej go w innem zupełnie

świetle. Została zdumioną i rozczarowaną; był to zupełnie inny kraj jak ten który znała z książek i z albumów, pocieszyła się jednakże wkrótce po doznanym zawodzie. Nie znalazła wprawdzie owych pięknych konwencyonalnych obrazów znanych jej już na pamięć, lecz za to inne obce jej zupełnie, piękniejsze może nawet, czarujące prostotą i swobodą.

Zabawiwszy w Taurisie kilka miesięcy, nacieszywszy się ojcem, panna Blandemer postanowiła powrócić znowu do Anglji. Młody pułkownik Gordon Stowart, jej kuzyn, który bawił właśnie w Taurisie, oświadczył gotowość odprowadzenia jej do Europy; był to wielce miły i szlachetnie myślący młodzieniec. Wrażliwy na spojrzenia błękitnych oczów, obcując codzień z piękną kuzynką, nie mógł długo pozostać obojętnym na tyle przymiotów razem połączonych. Łucya domyśliła się łatwo uczuć jakie w sercu młodzieńca obudziła i nie gniewała się o nie bynajmniej.

Pierwsze dni podróży odbyto jak najspokojniej; bez żadnej przeszkody karawana dotarła do granicy turecko-perskiej, pogoda sprzyjała, pogoda umysłu nie opuszczała podróżnych, jednem słowem wszystko szło pomyślnie.

W chwili gdy zaczynamy to opowiadanie, nasi podróżni zebrani w dolinie ocienionej staremi dębami, skończyli właśnie spożywać śniadanie. Pani Morton czyniła przygotowania do zwykłej poobiedniej drzemki, pułkownik wziąwszy strzelbę na ramię, poszedł razem z urzędnikiem probować czy jest dobrą, a Łucya usiadła zamyślona przed namiotem, którego płótna służba kończyła rozpinać.

Na rozkaz Stowarta jeden ze sług wbił w ziemię wysoki pal z przybitą do niego deską, miała to być tarcza celowa do wyprobowania broni. Armeńczyk pierwszy nabił strzelbę, wymierzył lecz nie trafił, Stowart za nim przystąpił, nie był wszakże szczęśliwszym i chociaż kilkakrotnie probował, ani razu trafić w tarczę nie mógł. Czy cel był nadto oddalony, czy zręczność opuściła go, czy też broń była niedobra, sam nie wiedział co sądzić. Gniewało go to niepowodzenie, gdyż przyczyny nie mógł odgadnąć, a przytem piękna kuzynka siedziała pod namiotem i patrzyła na dowody jego niezręczności. Lecz troska była próżną, spojrzenia bowiem Łucyi w inną zupełnie były zwrócone stronę. Wśród promieni chylącego się ku zachodowi słońca, ujrzała niespodzianie kilku jeźdźców, a widok ich zajął ją widocznie, gdyż nie odwracała ztamtąd spojrzenia ani na chwilę.

Zatrzymawszy się w pośród drogi, jeźdźcy zdawali się przypatrywać z szyderstwem niepomyślnym próbom Stowarta, uśmiechali się bowiem złośliwie i coś między sobą szeptali. Jeden z nich najwynioślejszej postawy, miał na sobie długi surdut mieszkańców Konstantynopola, inni ubrani byli jak wieśniacy miejscowi. Tamten zdawał się być wodzem szczupłego oddziału, ci jego sługami, gdyż trzymali się od niego w pewnem oddaleniu znamionującem szacunek. Nagle wódz skinął na jednego ze sług, ten snać zrozumiał niemy rozkaz, gdyż odpiął natychmiast strzelbę jaką miał zawieszoną przy siodle, nabił ją i podał panu. Wódz obejrzał ją starannie, poczem skoczył z konia, oddał go najbliżej stojącemu i wolnym krokiem skierował się naprzeciw tarczy celowej. Po chwili strzał wypadł ze świstem a cel został przeszyty mimo znacznej odległości. Wszyscy spojrzeli zdumieni na nieznanego strzelca, którego zręczność cudowną nazwaćby można; on nie zdawał się wszakże zwracać na nikogo uwagi i powstawszy z ziemi, zajął się z miną najobojętniejszą w świecie czyszczeniem strzelby. Wytarł najprzód starannie lufę, potem powtórnie nabił i położywszy się na ziemi wymierzył... niebawem druga kula utkwiła w celu.

— Sam szatan lał chyba kule temu turkowi, mruknął Stowart do Armeńczyka rzuciwszy strzelbę.

— Nie wydaje się być turkiem, odparł Tigranes, musi to być góral a nawet Kurdeńczyk.

— Turek czy Kurdeńczyk, wszystko to jedno, trzeba mu w każdym razie złożyć nasze powinszowanie; dał dowody nielada zręczności. To powiedziawszy pułkownik Stowart zwrócił się ku szczęśliwemu rywalowi, ale nieznajomy strzelec dosiadł konia i skinąwszy na swych towarzyszy puścił się wolnym krokiem w dalszą drogę.

Łucya siedziała wciąż jeszcze na tem samem miejscu, droga którą oddział konnych dążył prowadziła tuż koło jej namiotu, postanowiła więc zaczekać aby się im lepiej przypatrzyć, a gdy nadjechali blisko, podniosła ciekawy wzrok na wodza. Był to mężczyzna dwudziestokilkoletni, postawy wyniosłej, rysów twarzy szlachetnych. Miał kształtny orli nos, wzrok sokoli, przenikający na wskroś, płeć ogorzałą, włosy krucze. Ubiór jego był bardzo skromny, lecz za to koń wspaniały. Zręczny w ruchach a przytem silny, poruszał łbem poważnie i parskał nozdrzami; był to prawdziwy arab, co chwila zrywał się niespokojnie jak gdyby chciał unieść swego pana, lecz pan pieszcząc go głaskaniem, poskramiał go natychmiast.

Łucya przypatrywała się z zajęciem wodzowi szczupłego oddziału, on przeciwnie zdawał się jej zupełnie niewidzieć, dopiero kiedy już tylko kilka kroków dzieliło go od niej, pociągnięty snać siłą jej spojrzenia, podniósł raptem wzrok i drgnął jakby zbudzony ze snu. Jasno-włosa piękność olśniła go widocznie, był zdumiony i zachwycony zarazem tem niespodzianem zjawiskiem. Ów prorok, o którym legenda, powiada iż Bóg otworzywszy podwoje nieba raj mu na chwilę ukazał, nie mógł doznać silniejszego wrażenia zachwytu i uwielbienia nad to jakiego doznał ten Kurdeńczyk spostrzegłszy pannę Blandemer. Ściągnąwszy cugle koniowi aby szedł wolniej jeszcze, mijając Łucyą złożył jej ukłon pełen uszanowania, a ona nie myśląc co czyni nawzajem ukłonem mu odpowiedziała.

Któraż kobieta nie lubi gdy ją podziwiają? Łucya pochlebstwami była zepsutą, od lat najmłodszych składane hołdy w salonach londyńskich, przyjmowała bez wrażenia nieprzywiązując do nich wielkiego znaczenia. Rzecz jednakże szczególna, ten ukłon przelotny złożony jej przez nieznajomego, ten niemy jego hołd, oblał rumieńcem jej lica, wyczytała w nim szczere niekłamane uwielbienie i dla tego to obojętnie przyjąć go nie umiała. Nieznajomy podniósł raz jeszcze na nią swój wzrok przenikliwy, poczem popędził galopem i znikł z oczów Łucyi.

— Kto to taki? pytali podróżni jeden drugiego, lecz nikt na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć. Następnego dnia szczupła karawana puściła się w dalszą drogę. Z każdym dniem podróż stawała się teraz przykrzejszą; góry przybierały postać coraz bardziej stromą, noce były chłodne, dnie często posępne; z każdym dniem więcej czuć było zbliżającą się zimę. Nakoniec jednego poranku podróżni ujrzeli wzgórza pokryte białym szronem. Pod lodowatem tchnieniem tego pierwszego mrozu, wszystkie liście pożółkły na drzewach, zioła i trawy zwarzyły się, niebawem ze szczytu Taurysu, pokrytych wiecznemi śniegami, powiały zimne wichry i dokonały dzieła zniszczenia ogałacając naturę z zielonej jej szaty.

Zmiana pory roku tak niespodzianie zaskoczyła podróżnych, iż już czwartego dnia spostrzegli z przerażeniem, iż nie będą mogli więcej nocować pod namiotami z płótna. Trzeba więc było koniecznie szukać na noc schronienia w skromnych chatach wiosek które mijali. Poczęli przeto rozglądać się za stosownem dla siebie pomieszczeniem, lecz niełatwo było to uskutecznić wśród tego nawpół dzikiego jeszcze kraju. Jedyny obszerniejszy domek, który był w stanie ich pomieścić, był stojący na uboczu domek księdza armeńskiego i tam postanowili udać się prosząc o przytułek.

Szczęściem właściciel domku był gościnnym człowiekiem, a przytem jako duchowny spełniającym wiernie uczynki miłosierdzia. Przyjął przeto serdecznie podróżnych do swej chaty, nakarmił ich, ugościł i roznieciwszy ogień na kominku przy którym rozgrzali skostniałe członki, zasiadł z nimi do gawędki.

Zacny kapłan, jak wkrótce przekonali się podróżni, nie różnił się niczem prawie od wieśniaków których był pasterzem. Jak oni ubożuchny i pełen prostoty ducha, jak oni uprawiał sam pole, sam był sługą i panem w swoim skromnym domku; gdyby nie kapelusz jaki nosił, a który był otoczony długim welonem, robiącym prawdę mówiąc wrażenie łachmana, każdy wziąłby go niezawodnie za prostego wieśniaka. Jednakże podróżni wdzięczni za przytułek jaki im ofiarował, słuchali uprzejmie jego utyskiwań na nędzę w jakiej żył oraz na niedolę swych owieczek.

— Turcy, Kurdowie i biskup armeński, mówił ksiądz wstrząsając smutnie głową, podali sobie ręce aby gnębić i wspólnie niszczyć biedną naszą wioskę. Z trzech tych jednakże wrogów Kurdowie są jeszcze najznośniejszymi: ci co tutaj w okolicy mieszkają, należą do pokolenia Abdurrahmanlego, a wódz ich Selim Aga, nigdy biednych nie prześladuje, zaczepia tylko bogatych podróżnych jak wy naprzykład.

Te ostatnie słowa niezbyt miłe wywarły wrażenie na słuchaczach. Tigranes zaniepokojony niemi, zaczął rozpytywać szczegółowo o owego Selima Agę, ksiądz się szerzej rozgadał i podróżni dowiedzieli się wcale ciekawych szczegółów o naczelniku Kurdów, który mszcząc się za prześladowania jakich doznawał od gubernatora obwodu Wan, napadał karawany i rabował podróżnych.

— Nie jest to tak bardzo zły człowiek, ciągnął dalej gospodarz, tylko gubernator nie powinien go drażnić, znając jego gwałtowną naturę, powinienby unikać z nim zaczepki, tym bardziej iż jest słabszym od niego. Selim Aga jest odważnym a gdy idzie o wykonanie zemsty, potrafi być i okrutnym. Niedawniej jak dwa tygodnie temu, przybrawszy strój turecki, pośpieszył z kilkunastoma zbrojnymi ludźmi na granicę Persyi, przeciwko naczelnikowi Mekkio, który zeszłej wiosny zajął był jego trzody pod pozorem iż weszły na jego pastwiska. Wczoraj właśnie widziałem go powracającego z tej wyprawy, a ludzie jego powiadali mi, iż była krwawą, że nawet kilku ze sług naczelnika Mokkio życiem ją opłacili.

Tigranes zmarszczył posępnie czoło i zamyślił się głęboko.

— Kto wie, rzekł po chwili, czy ów zręczny strzelec, którego nazwiska tak byliśmy ciekawi, nie jest Selimem Agą. Przyznaję iż nie życzyłbym sobie spotkać go po raz wtóry.

— A chociażbyśmy go i spotkali, odezwał się Stowart, to i cóż z tego, dla czegóż nie mielibyśmy się obronić, jesteśmy przecież liczniejsi.

— Lecz niestety mniej zręczni w strzelaniu, mruknął Tigranes.

Stowart machnął ręką.

— Kurdowie celnie strzelają to prawda, rzekł, lecz długo też jak uważałem broń nabijają, nie lękam się więc Selima, jeśli nas napadnie stawię mu odważnie czoło.

Całej rozmowy milcząc słuchała Łucya, która wpatrzona w tlejący na kominie ogień, zdawała się nim być jedynie zajętą. Przelotny uśmiech który od czasu do czasu przebiegał jej usta, świadczył jednakże iż o czem więcej zajmującem musiała myśleć w tej chwili. Słuchając rozmowy kuzyna z armeńczykiem, bawiła się ich sprzeczką, obawy Tigranesa i przypuszczenia Stowarta wydawały się jej dziecinnemi. Jak można było się lękać pięknego nieznajomego?

Co do niej chętnie byłaby chciała spotkać go raz jeszcze, była zupełnie pewną iż spotkanie to dla nikogo groźnem by stać się nie mogło. Jakiś tajemniczy głos szeptał w jej duszy, iż Selim Aga, jak Tigranes nieznajomego nazywał, nie potrafiłby uczynić krzywdy karawanie w której ona się znajdowała. Więc chociaż ksiądz więcej jeszcze rozpowiadał o napadach Selima Agi, chociaż Tigranes troszczył się ciągle co się stanie z nimi gdy go spotkają, ona spokojnie zupełnie udała się na spoczynek i nie lękając się wcale napadu, zasnęła niebawem twardo.

Stowart przeciwnie całą noc oka zmrużyć nie mógł, lubo udawał spokój nie miał go jednakże w sercu, i nie bez pewnej trwogi myślał o spotkaniu z dzikim naczelnikiem Kurdów.

Zaledwie brzask jutrzenki rozwidnił maleńką izdebkę którą zajmował z Tigranesem, zerwał się żywcem z posłania i nic nie mówiąc udał się do władzy miejscowej prosząc aby mu dodano zbrojną eskortę, która odprowadziłaby ich do granicy; kilku ludzi zwiększyło zatem karawanę.

Dwa dni następne minęły podróżnym zupełnie spokojnie; Tigranes zapomniał o swoich obawach, Stowart żałował iż prosił o eskortę, a Łucya żartowała potrosze z nich obydwóch; tym bardziej że prócz kilku pasterzy nasi podróżni nie spotkali więcej nikogo na drodze. Mijali obecnie skromne wioski zamieszkane przez ubogą ludność armeńską; Tigranes, który urodzony w Konstantynopolu, po raz pierwszy zwiedzał ziemię swych ojców, nie mógł obojętnie patrzeć na nędzę ludu bratniego.

— O biedny mój kraj, mówił do Stowarta, jakże wyniszczony! Lecz nic dziwnego! Armenia była polem walk całego niemal Wschodu, dziś jeszcze służy za obóz sześciu nieprzyjacielskim sobie pokoleniom, które ustawiczne utarczki prowadzą między sobą, a co najgorsza sami nawet armeńczycy żyć w zgodzie nie potrafią. Nie tracę przecież nadziei iż lepsza przyszłość czeka nieszczęśliwą tę ziemię. Armenia nie jest tak ubogą jak się to wydaje z pozoru, mamy urodzajne doliny gdzie zboże wszelkiego gatunku, ryż, tytuń, len, wino udają się wybornie; mamy piękne bydło i konie, kraj nie jest ubogim, tylko brak nam oświaty abyśmy potrafili wyjść z tego smutnego położenia.

Mówiąc to, Tigranes ożywiał się coraz więcej snać chociaż wychowany zdala od ojczystej ziemi, kochał ją jednakże całą duszą. Stowart słuchał go jakby z roztargnieniem, inne myśli zajmowały go widocznie. Powziąwszy postanowienie, odprowadzenia panny Blandemer do Europy, pułkownik powiedział sobie iż podróż którą razem z nią odbędzie, rozstrzygnie jego przyszłość. Widział iż Łucya była dla niego uprzejmą, że nie odtrącała jego towarzystwa, a jednakże szło mu jakoś trudno z wypowiedzeniem ostatecznego słowa, mijały dnie za dniami a oświadczenie odwlekał ciągle do dnia następnego, jak gdyby lękał się rozmowy.

— Śmiesznem to wreszcie być zaczyna, muszę raz przecież skończyć z tą niepewnością i dziś stanowczo powiem jej wszystko, myślał właśnie pułkownik, gdy Tigranes nie domyślając się uczuć, jakie nim miotały, mówił mu o Armenji. Łucya również pewno nie domyślała się co w sercu kuzyna się dzieje, gdyż chcąc wyrwać go z posępnej zadumy, zaczepiała ustawicznie obojętnemi dlań w tej chwili pytaniami. To wyniosła dziwnych kształtów skała, niby wieża niebotyczna zwracała jej uwagę, tam znowu spostrzegłszy jakieś zwaliska, pytała o nie, Stowart odpowiadał półsłówkami, Łucya poczęła żartować z jego dziwnego usposobienia, że lęka się spotkania z Selimem Agą, a w końcu przysunęła się do Tigranesa i z nim prowadziła rozmowę o Armenji. Pułkownika niezmiernie to oburzyło: czyż nie domyślała się jego uczucia, czy się go lękała i odwlec była rada wymówienie stanowczego słowa które całe jego serce przepełniało? Postanowił zatem zwrócić się do pani Morton, jej wyznać wszystko jako doświadczonej i prosić o radę. Lecz i ta okazała się równie niedomyślną jak Łucya; zajęta malowniczą okolicą jaką przebywali, od czasu do czasu głośniejszym wykrzyknikiem objawiała swoje zachwycenie, a gdy Stowart zbliżył się do niej i rozpoczął rozmowę, odpowiadała z roztargnieniem.

Westchnął biedny pułkownik, cofnął się nieco za karawanę i jadąc sam w pewnem oddaleniu, puścił wodze myślom, marząc jak piękną kuzynkę powiedzie do ołtarza, jak ją przedstawi w Londynie jako swoją żonę, jak chlubić się nią będzie i jak dom urządzi z największą wykwintnością. Łucya tymczasem najobojętniejszą prowadziła rozmowę wypytując się o przeszłość Armenji; Tigranes opowiadał koleje jakie przechodziła: podboje Macedończyków, Persów, Arabów, Greków i Turków; pani zaś Morton obojętna i głuchoniema na wszystko, wciąż tylko rozglądała się po okolicy i unosiła nad jej pięknością.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Sprawozdanie z obecnego stanu Kraju.

I. Kalisz i jego okolica, przez J. Jeleńskiego. Warszawa, 1875.

Treść tej książeczki po części ma wartość trwałą, po części chwilową. Tę ostatnią mają mianowicie wykazy statystyczne, częstokroć mozolnie zebrane, które, jak w ogóle zmienne żywioły tej nauki, za lat parę będą już tylko materyałem historycznym. Trwalszą wartość mają niektóre rezultaty owych wykazów i ogólne spostrzeżenia społeczne i ekonomiczne, które, w obec żółwiego pochodu postępu u nas, długo jeszcze niestety, będą prawdziwemi. Nie ma co bowiem ukrywać, że pomimo całej bezstronności autora, pomimo nawet nacisku, który kładzie tu i owdzie na nieliczne dodatnie objawy, ogólne wrażenie po przeczytaniu sprawozdania jest dość smutne i usposabia do pesymizmu.

Przedewszystkiem zasługuje autor na ciężki zarzut, że nie dał choćby krótkiego historycznego rysu miasta Kalisza, gdyż kilku wierszy w tym przedmiocie na str. 3 nie możemy uważać nawet za pobieżną historyczną wzmiankę; trudno także uwzględnić i tłomaczenie się autora. Teraźniejszość ściśle jest zawsze związana z przeszłością, a zresztą same już wymagania zupełności w opisie nie pozwalają pominąć całkiem strony historycznej.

Na początku autor utrzymuje, że Kalisz od 1867 r. „pełniejszem rozwija się życiem," znajduje że samo miasto jest bardzo porządne i t. d. tak że nawet widać w tem wszystkiem nieco optymizmu, którego jednak czytelnik, po uważnem przeczytaniu dalszego ciągu, bynajmniej podzielać nie może. Pod niektórymi względami autor oddaje pierwszeństwo Kaliszowi przed Warszawą, jako to: względem kanałów, utrzymania ogrodu miejskiego i t. d., ale to jeszcze za mało, a zresztą nie wszystko, co jest lepszem od tego lub owego objawu z życia warszawskiego, jest już dobrem; pośrednich stopni pomiędzy najgorszem i złem, pomiędzy złem i dobrem, było zawsze i jest niemało.

Oto już zaraz na stronicy następnej, czytamy, że Kalisz prawie nie jest miastem swojskiem, gdyż „na jego społecznem życiu germanizm odciska coraz wybitniejsze ślady". Ważniejsze gmachy i zakłady w ręku Niemców, pomiędzy nazwiskami firm, zakładów fabrycznych i t. d., powiada autor, końcówki na *ski*, *icz*, i t. d. w stosunku do *rr*, *sight*, *brandt*, i t. d. są *jak jeden do dziesięciu*. „Najbogatszą dziedzinę pracy, najtrwalszą podstawę bytu opanowali Niemcy i oni też rej wodzą.... Germanizm czuć na każdym kroku. Przemysł niemiecki i handel żydowski— oto najogólniejsza charakterystyka wewnętrznego życia Kalisza... Nie bardzo to jakoś zgadza się z owem uznaniem *pełniejszego życia*, gdyż pełnia życia niemieckiego, takiego, jak je w powyższych wyrazach odmalował autor, dla nas nietylko że jest żadną i obojętną, ale wcale niepożądaną i szkodliwą.

Nie brak i innych świadectw autora o ujemnych stronach np. życia towarzyskiego. „Gdyby wszyscy ludzie nauki i inteligencyi, powiada pan J. zamiast ex re drobnych nieraz osobistych kolizyj, dzielić się na koterye i rozpadać na pojedyncze kółka, wzięli się razem za ręce i wpatrzyli się razem w jeden cel wielki i wspólny — cel oddziaływania na warstwy nieoświecone, gdyby z celem tym nie rozstawali się na chwilę i szli dość wytrwale, w takim razie Kalisz odetchnąłby żywszem, naturalniejszem życiem i t. d. (str. 7). Młodzież inteligentniejsza, po dawnemu, ciśnie się do pracy biurowej, a czas od niej wolny poświęca bilardowi i gryłaszowi, nie czyta zaś wcale i nie uczy się niczego (str. 8). Słusznie zapytuje autor, czy nie byłoby lepiej gdyby zamiast tego tradycyjnego wegetowania ta sama młodzież stanęła przy warsztatach rękodzielniczych, wytwarzając tym sposobem skuteczną konkurencyę z niemieckim przemysłem? (str. 8). Wspomina jednak autor o kilku chlubnych wyjątkach.

O pięknej połowie Kaliszan nie wiele pochlebniejsze zdanie wypowiada autor. Ogromną większość osób tej płci na zasadzie tego co sam widział, posąda autor (są to własne jego słowa) „o lekceważenie najważniejszych zadań życiowych, o lekkość na punkcie spełniania obowiązków, ciążących na sumieniu każdej jednostki społecznej i o próżniactwo." Jako wybitny dowód przytacza autor ten smutny fakt, że pomimo iż osoby płci niewieściej nie mające utrzymania i potrzebujące środków do życia, można rachować w Kaliszu na setki, wszelako w nowo-założonej pracowni panien P. gdzie uczą różnych rzemiosł, jest tylko 18 uczennic, z tych 8 bezpłatnych (str. 10). Mieszczaństwo jak zwykle u nas, ciemne; zaledwie połowa umie czytać.

O żydach, przynajmniej o inteligencyi żydowskiej w Kaliszu. autor wyraża się, stosunkowo, nieco przychylniej. Warstwa ciemnych fanatyków i wyzyskiwaczy jest i tutaj pomiędzy żydami liczną, a jak wolno dostaje się do ludności żydowskiej najmniejszy objaw cywilizacyjny, choćby np. przefiltrowany i po żydowsku przyprawiony przez „Izraelitę" widać to z przytoczonego przez autora faktu, że na 7,000 żydów kaliskich jest tylko *jedenastu* prenumeratorów wymienionego czasopisma.

O klasie służebnej, mającej w Kaliszu, około tysiąca przedstawicieli, nie wiele pocieszającego ma autor do powiedzenia.

Nie bardzo pochlebnie mówi autor i o duchowieństwie kaliskiem, złożonem z 48 księży. Zdaje się wszelako, że jego zarzuty pod tym względem trącą nieco stereotypowemi ogólnikami i mało są uzasadnione.

Wychowanie domowe i w Kaliszu, jak w ogóle u nas, zaniedbane. „Dzieci się karmi i okrywa— mówi autor, uczy się poznawania liter, czytania i t. d. posyła się je następnie do szkoły i na tem koniec.

Zajmowania się dziećmi według pewnego z góry przez naukę i doświadczenie zakreślonego planu, w wychowaniu domowem kaliskiem trudno się dopatrzeć. Książek i podręczników w tym przedmiocie kupuje się bardzo mało, pism traktujących naukę wychowania prenumeruje się nie wiele." A jednak, jak słusznie mówi autor, tyle jest wpływów szkodliwych, od których dziecko zawczasu uchronić albo przynajmniej przeciwko nim ile możności zabezpieczyć potrzeba.

Pism peryodycznych Kalisz i okolica prenumerują stosunkowo dosyć: 1,531 egzemplarzy pism polskich i 322 niemieckich (stosunek dla naszych niezbyt korzystny). Jak wszędzie u nas, kwitnie czytanie pism beletrystycznych; ludowe — Zorza — ma zaledwie 8 prenumeratorów!

Nieco wrzawy sprawiły już w naszej prasie szczegóły podane przez p. Jeleńskiego, o stanie robotników krajowców w niemieckich fabrykach Kalisza i okolic; o braku wentylacyi w fabryce p. Nitsche w Opatówku; o zabójczem powietrzu dla pracujących dzieci; o płacy robotników w słynnej fabryce Rephana w Kaliszu, wynoszącej od 20 do 25 kop. *za 14 godzin pracy dziennej* i t. d.

W starannym i wyczerpującym swoim obrazie pan Jeleński nie pominął żadnej strony życia społecznego; oświata i moralność, dobroczynność, instytucye ekonomiczne, urządzenia sanitarne, podatki, handel, przemysł, rolnictwo, statystyka przestępstw i t. d.— wszystko to opracowane starannie, dowodzi długotrwałych i sumiennych studyów przygotowawczych przez autora na miejscu dokonanych. Wszystkich tych działów przechodzić za autorem nie będziemy, gdyż nie pozwalają na to ramy niniejszego sprawozdania. Poprzestaniemy na przytoczonych wyjątkach i zaczerpniętych z książki uwagach, a gdyby kto chciał nam zarzucić, żeśmy tylko ujemne strony skwapliwie przytoczyli, odpowiedzielibyśmy, że właśnie o tych stronach ujemnych jak najczęściej wołać i mówić wypada. Minęły czasy, albo przynajmniej minąćby powinny, gdy godziło się tylko wzajem chwalić i dymem kadzideł wzajemnie okadzać: lepiej mówić prawdę, choćby gorzką. Może jeden i drugi przeczytawszy dziełko pana J. albo choć nasze o nim sprawozdanie, przyłoży się, choćby do cząstkowego i powolnego postępu ku lepszemu.

Manija wzajemnej adoracyi zjawia się bowiem i dzisiaj w nieco zmienionej postaci. Strasznie wiele prawią o naszem dźwiganiu się, o postępie, o lepszem bez porównania stanie ekonomicznym, umysłowym i t. d. dziś niż w niedawnej jeszcze przeszłości. Pojmujemy praktyczną wartość takiej odrobiny optymizmu, która może czasem odegrać rolę bodźca, ale że na pochyłości utrzymać się trudno, z tychże samych pobudek praktycznych czasem lepszym bywa pesymizm. Że zaś ten ostatni prędzej mógłby być usprawiedliwiony i poparty niezbitemi cyframi, świadczy o tem, niestety, także i praca p. Jeleńskiego.

Książeczka niniejsza była drukowaną częściowo w Niwie. To tylko było niedogodnem, że dawano tę pracę w homeopatycznych kawałkach (jak wszystkie mniej więcej artykuły Niwy) tak że całość została ukończoną w ciągu zaledwie roku, albo blizko tego. Niwa zapowiedziała dalszy ciąg tych sprawozdań o stanie rozmaitych okolic kraju, ale jeżeli takowe będą podobnie rozkawałkowane, to zaprawdę długich lat potrzeba będzie nim ów obraz ukończonym zostanie i w czasie jego ukończenia, początek będzie już miał tylko wartość historyczną. Lepiej więc byłoby drukować te sprawozdania odrazu w oddzielnych jak niniejsza książeczkach. W końcu zwrócimy uwagę na dość niedbałą korektę książeczki, przepełnionej pomyłkami.

W.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Przenośne kieszonkowe naftowe lampki.

Jednem z nowszych zastosowań gazu wytworzonego z oczyszczonej ligroiny, są przenośne lampki czyli kieszonkowe ręczne kinkieciki, niezmiernie dogodne przy doraźnem ich użyciu we wszystkich wypadkach nagłej potrzeby światła lub ognia.

Aparacik ten składa się z gumowego baloniku i maleńkiego cieniuchnego gazowego zbiornika z brenerem. Balonik rozdyma się ustami, zgęszczone powietrze które wkrótce się w nim pomieścić nie może, ciśnie się w przyrząd z Hydrocarbonem, zabiera cząsteczki lotne, i zapalony zapałką wydziela światło jasne jednostajne i dość długo trwające, gdyż w miarę opadania baloniku, znowu go nadąć można świeżem powietrzem.

Przyrządy te znajdują się w Magazynie p. Knolla na Czystej ulicy. Pojedyncza sztuka kosztuje rs. 1 kop. 20, z dodaniem flaszeczki stosownie przyrządzonej ligroiny, która na bardzo długo starczyć może.

Od Redakcyi.

W roku przyszłym 1876 tak **Tygodnik Mód i Powieści** jak i **Przyjaciel Dzieci**, pod temi samemi wychodzić będzie warunkami co i w roku ubiegającym, upraszamy przeto o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej.

Ponieważ w roku bieżącym tak znacznie się zwiększyła liczba prenumeratorów, iż byliśmy w obawie możności zaspokojenia ciągle przybywających zapisów, czujemy się przeto w obowiązku podać do powszechnej wiadomości, iż nakład na oba pisma powiększyliśmy, i że nowi prenumeratorowie na zawód niedoboru żądanych egzemplarzy narażeni nie zostaną.

Oprócz artykułów i powieści pań: Orzeszkowej Elizy, Marrené Waleryi (Morzkowskiej), A. Dzieduszyckiej, Maryi Szeligi (Mireckiej), pp. J. I. Kraszewskiego, Ludwika Niemojowskiego, L. W. Szczerbowicza, Sygurda Wiśniowskiego, J. Prusinowskiego i wielu innych, mamy przyrzeczone równie współpracownictwo Antoniego Pietkiewicza (Adama Pługa), którego powieść drukować wkrótce będziemy w Tygodniku Mód.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Pismo to coraz większem ciesząc się uznaniem, nie tylko zachęca do nauki i czytania, ale wpływa niezmiernie na poprawę moralną dzieci, w czem śmiało odwołujemy się na świadectwo Rodziców, Nauczycielek i Nauczycieli, obdarzających nas bardzo licznemi korespondencyami z wyrażeniem za to podziękowania.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41** nowy**).**

Nadmieniamy przytem, że dla Prenumeratorów obu tych pism, Redakcya załatwia wszystkie sprawunki i polecenia, za małem nader wynagrodzeniem osoby jedynie tem się zajmującej.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani L. P. w Niemirowie Obstalunki porobione i wkrótce sprawunki wysłane będą; rs. 100 odebraliśmy.

Pani Helenie J. w Niszowcach. Historyja polska Ancypowicza jest dobrą.

Pani *Lubomirze L. w Równie.* Suknia wełniana jaką pani opisuje kosztować będzie najmniej rs. 30 do 35. Najlepiej byłoby przysłać stanik, a choćby niezupełnie dobrze leżał, to prosimy tylko donieść gdzie jest mianowicie niedogodny. Gdyby zaś to było trudnem do spełnienia, potrzeba zdjąć miarę centymetrową tasiemką, oznaczając liczbami, centymetry wypadające jako szerokość w piersiach, plecach, objętość w pasie i pachy, długość stanu z przodu, w boczku i połowie pleców, również długość rękawa i spódnicy z przodu.

Pani *Klementynie K. w Ryżance.* Książki wybrane, i wraz z podarowanemi uczennicom wysłane zostały.

Pani *Maryi L. w Przydrujsku.* Adres pensyi panny Bronisławy Leśniewskiej jest: Nowy Świat Nr. 13.

Przyjaciela Dzieci Nr 49 wyszedł z druku i zawiera:

Hebron (z drzeworytem).—Moja poduszka (wiersz). Koryzanda de Baléon (podał L. D). Wyspa tajemnicza przez Julijusza Werne (ciąg dalszy).—Czyny nauczające.—w Dodatku: Dobra rodzina (z drzeworytem.—Wyrzut sumienia (wiersz).— Przechadzki z Nauczycielem. — Raki (z drzeworytem).—Rozmowa z Mamą. — Artykuł nadesłany.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

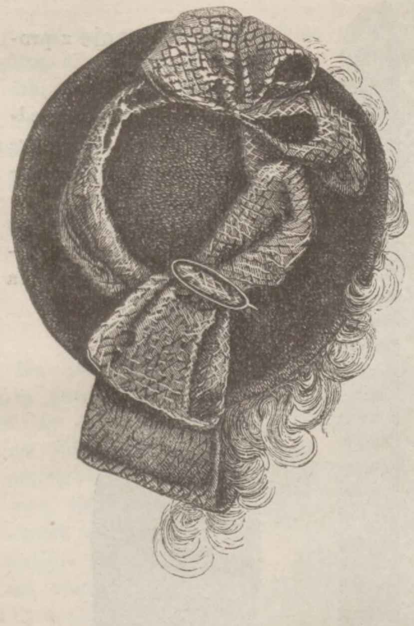
w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i prospekt Tygodnika Mód.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 18 (30) Ноября 1875 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

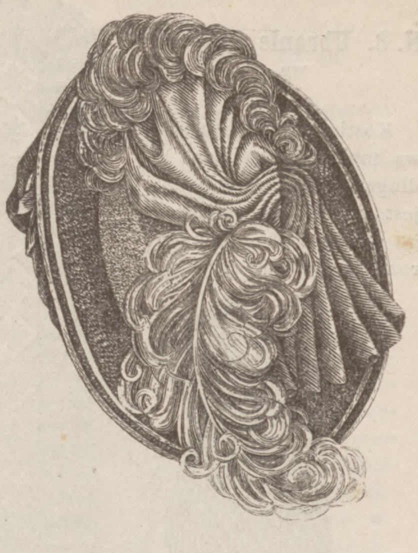
Dodatek.



N. 1. Kapelusz aksamitny.



N. 3. Ubranie spacerowe.



N. 2. Kapelusz filcowy.

Opis do N. 49.

N. 1. Kapelusz aksamitny.

Czarny aksamitny kapelusz z główką okrągłą, z dość dużem płaskiem rondem, czarnym rypsem podszytem, z przodu tylko trochę w górę podwiniętem, ubrany jest czarną kanwową wstążką, przepiętą z tyłu sprzączką z oksydowanego srebra. Największą ozdobę kapelusza stanowi długie, pąsowe strusie pióro, z boku pod rondem przypięte na podpięciu z aksamitu, z tyłu aż na włosy spadające. W środku rondka umieszczony ptaszek z błyszczącemi i mieniącemi się piórkami.

N. 2. Kapelusz filcowy.

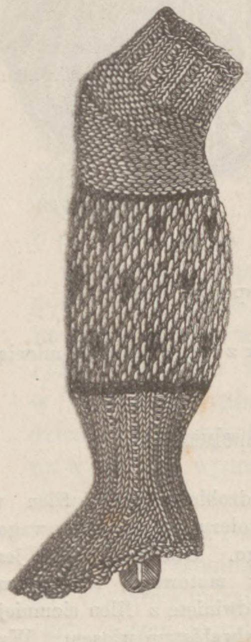
Kapelusz ten odrobiony jest z filcu w dwóch cieniach, koloru dziko piaskowego, dziś bardzo modnego. Główka okrągła jest jaśniejsza z filcu matowego, rondko zaś z przodu w górę podwinięte z filcu ciemniejszego, z miękkim jedwabistym włosem. Wypustki przy rondku i niezwykłe ubranie na główce jest z repsu w dwóch cieniach, takiegoż koloru. Przy wachlarzowem ciemniejszem upięciu z tyłu przypina się jaśniejsze pióro, a nad jasnem przy rondku, ciemniejsze strusie pióro. Djademowe podpięcie ronda składa się ze zręcznie przewiniętego repsu w dwóch cieniach, kokardy i gałązki różowych róż przypiętych z boku.



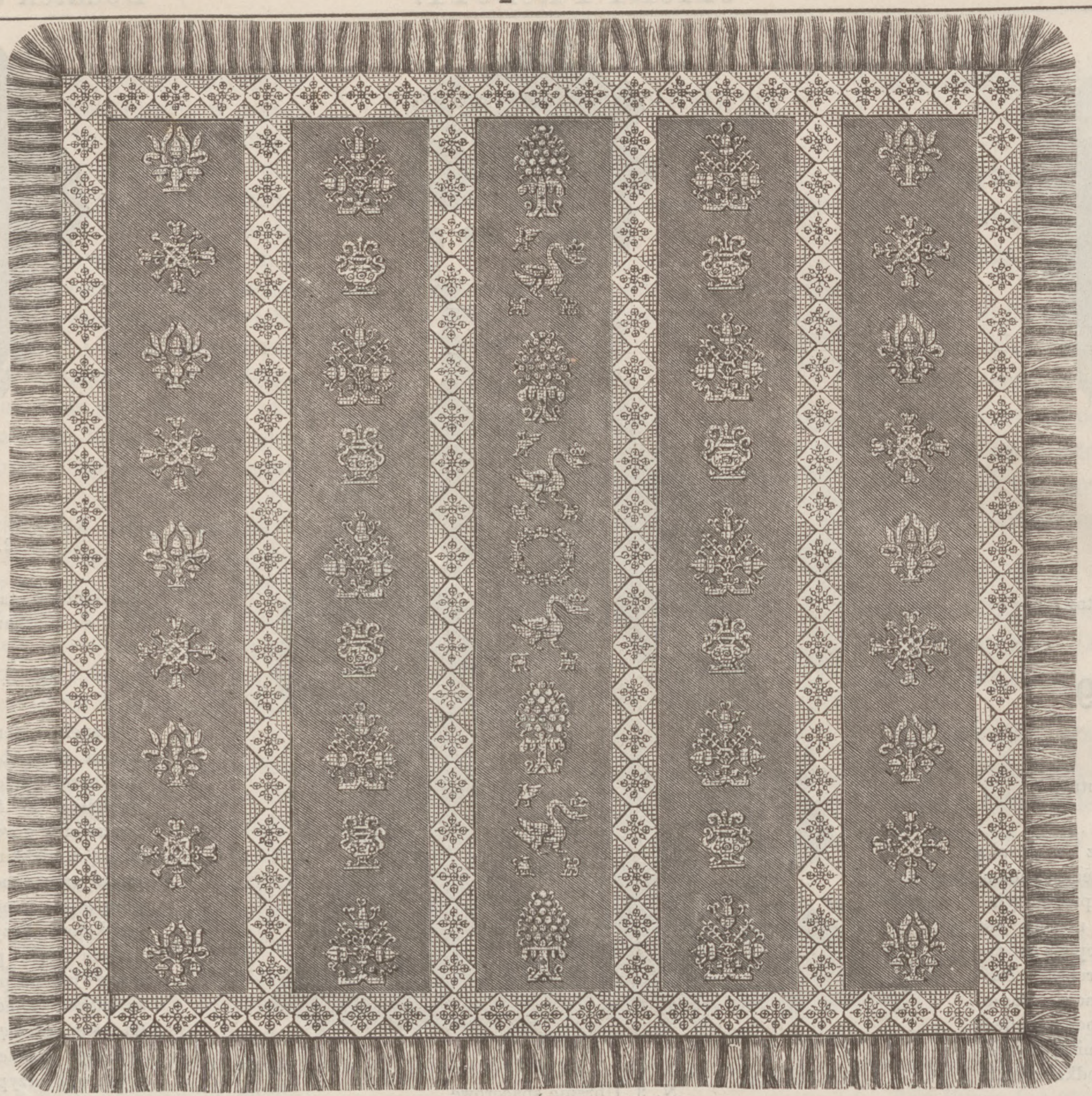
N. 4. Suknia z naśladowaną ubraniem tuniką. Przód stanika ryc. 33. N. 5. Suknia z prosto ściętą tuniką. Przód do ryc. 7. Krój w N. 36 ryc. 4—5. N. 6. Ubranie z beduiną szalową. N. 7. Suknia z prosto ściętą tuniką, plecy do ryc. 5.

N. 3. Ubranie spacerowe.

Kostium ze spódniczkową tuniką i stanikiem z długą baskiną, odrobiony jest z grubego wełnianego materyjału, których rozliczne rodzaje przysposobione są na obecną porę. W miejsce garnirunku, który do takich wyrobów jest mniej właściwy, tak stanik jak i tunika u dołu i wzdłuż przodów, przestębnowane są 4 lub 5 razy grubym jedwabiem i urządzone do zapinania na dwa rzędy guzików. Kołnierz z ranwersem oprócz stębnówek naszyty jest pletnią, z której dodane są podwójne pukielki przy rękawach i kilka rzędów naszycia u dołu spódnicy.



N. 12. Kamasz dziecinny. Robota na drutach i ścieg tunetański.

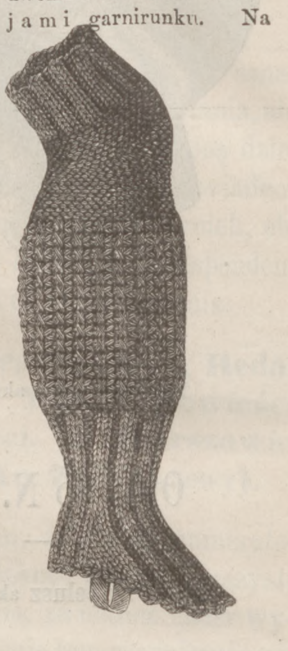


N. 8. Serweta na stół. Ścieg długi i krzyżowy, patrz ryc. 10—11.

N. 5 i 7. Ubranie z prostą tuniką.

Powyższe ryciny przedstawiają z przodu i z tyłu, suknię odrobioną podług formy do ryc. 4 i 5 w N. 36 Tygodnika, z dwoma odmiennemi rodzajami garnirunku. Na ryc. 5 widzimy suknię z lekkiego wełnianego wyrobu, w paski ciemniejszego koloru. Szerokie plisy z materyi odpowiedniego koloru, zdobią spódnicę, stanik kirasowy, rękawy i tunikę, która oprócz tego, oszyta jest bogatą, jedwabną wiązaną frendzlą.

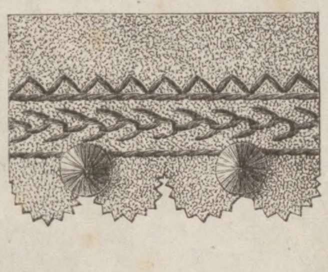
Na ryc. mamy przedstawioną z tyłu suknię, odrobioną z kaszmiru i materyi w jednym kolorze, przybraną plisowaniem, koronką i plisami.



N. 13. Kamasz dla dzieci robota na drutach i ścieg szydełkowy.

N. 4 i 33. Suknia z garnirunkiem naśladującym fartuszkową tunikę.

Kosztowna suknia z ciężkiego jedwabnego repsu, koloru wodno-niebieskiego, jest suto przystrojona plisowaniem i riuszami z materyi i szeroką, białą koronką. Spódnica z trenem w górze w wachlarzową fałdę ułożona, u dołu ozdobiona jest plisowanym garnirunkiem, węższym z przodu a rozszerzonym z tyłu, którego układ przedstawia ryc. 4. Tunika zastąpiona jest skośnemi pasami materyi, 24 cent. szer. podszytemi sztywnym muślinem, których proste brzegi są w ząb zeszyte na środku. Pasy te trochę na siebie zachodzące ogarnirowane są u dołu riuszą i koronką, a z tyłu spięte bardzo szeroką szarfą. Odpowiednio przystrojony stanik kirasowy i rękawy, podane są z przodu na ryc. 33.



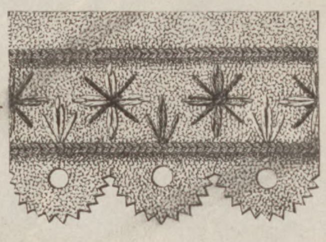
N. 15. Szlaczek do ryc. 14.



N. 14. Koszyczek na kluczyki ozdobiony lambrekiną. Patrz ryc. 15—16.

N. 6. Ubranie z beduiną szalową.

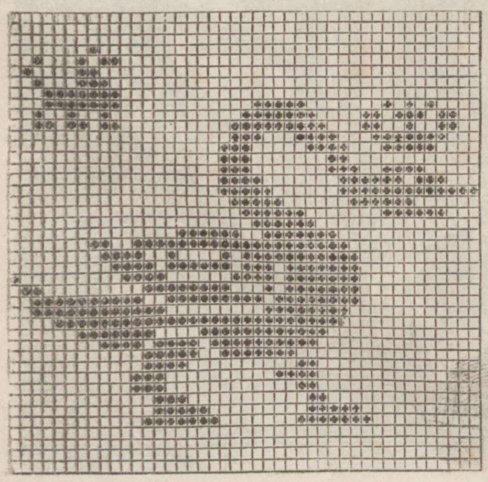
Najstosowniejszemi zarzutkami do teatru, na koncerta i wieczory są lekkie szaliki z koronki, krepy jedwabnej lub t. p., prosto w górze wywinięte i zręcznie zarzucone (jak to widać na ryc. 20 w N. 35 Tygodnika), albo spięte z tyłu nakształt beduiny, w sposób na ryc. 6 wskazany



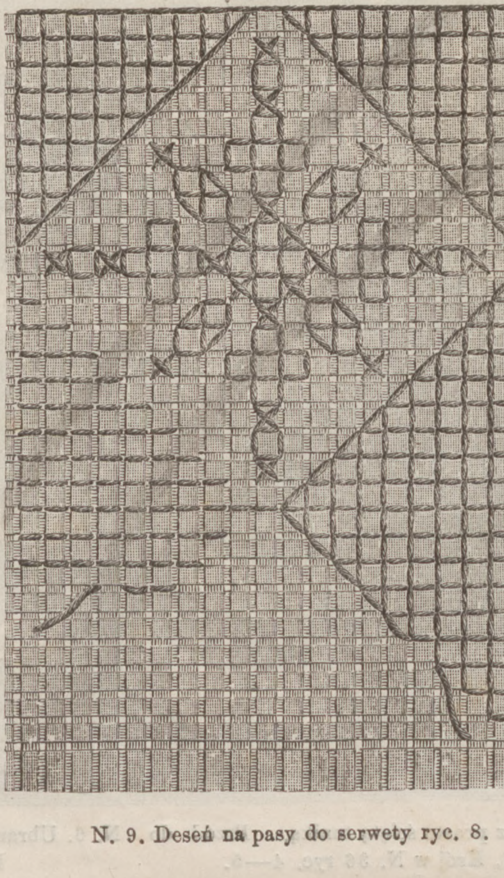
N. 16. Szlaczek do ryc. 14.

N. 8—11. Przykrycie na stół. Ścieg długi i krzyżowy.

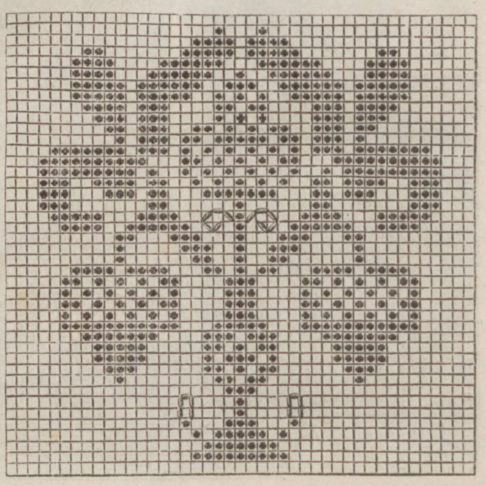
Serweta trzymająca 117 cent. w kwadrat, zeszyta jest z pasów płóciennych szafirowych i popielatych. Węższe pasy z płótna popielatego, które stanowią zarazem szlak w koło, mają nitki w równą kratkę wyciągnięte, a następnie wyszyte są w sposób na ryc. 9 podany, bawełną pąsową turecką. Na 15 cent. szerokich pasach szafirowych, fastryguje się równo kanwę cienką nicianą, wy-



N. 10. Deseń haftu ściegiem krzyżowym do ryc. 8.



N. 9. Deseń na pasy do serwety ryc. 8.

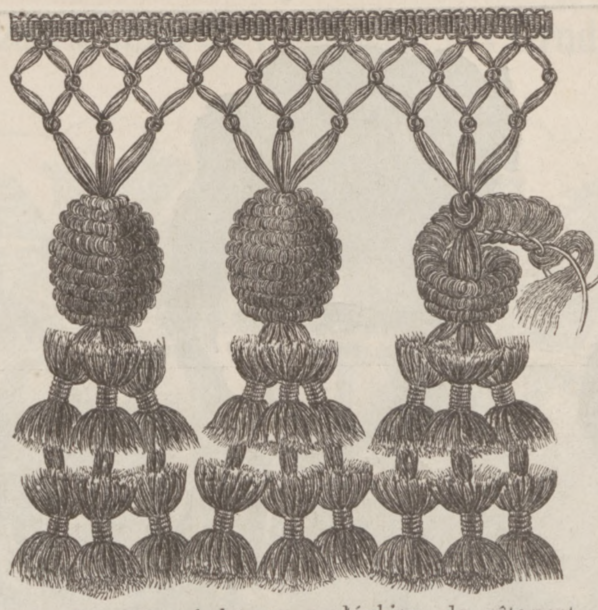


N. 11. Deseń haftu ściegiem krzyżowym do ryc. 8.

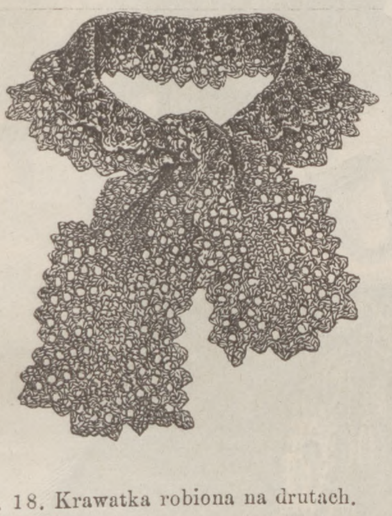
szywa na niej naprzemian bawełną pąsową i białą lub popielatą, krzyżykami, deseń podany na próbce N. 10 i 11, a nitki kanwy się wyciąga.

Frendzla może być siepana z płótna szafirowego i popielatego, albo wiązana z wełny, podług wzorów podanych w poprzedzających N-rach Tygodnika.

N. 12—13. Dwa kamasze dla dzieci lat 3—5. Robota na drutach i szydełkowa ściegiem tunetańskim.

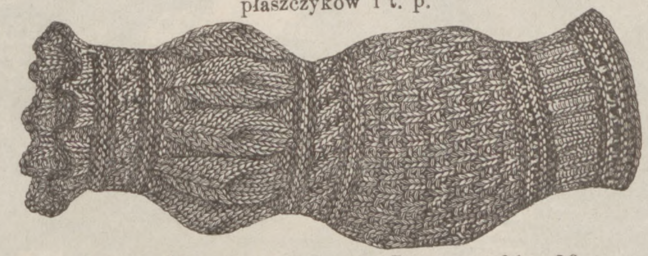


N. 17. Frendzla z siatkowym nagłówkiem do vêtement, płaszczyków i t. p.

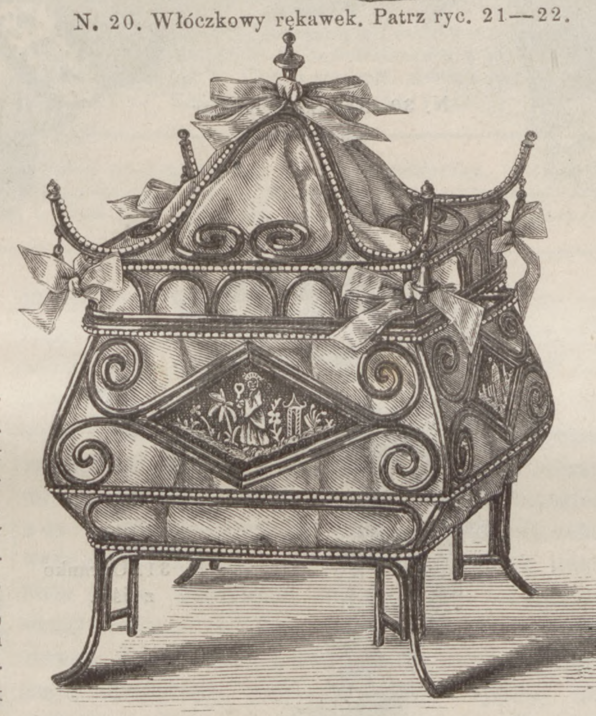


N. 18. Krawatka robiona na drutach.

Na jedną parę potrzeba 50 gramów włóczki angielskiej i parę strzemiączek skórzanych, 3 cent. szer. a 4 1/2 długich. U obydwóch kamaszy część dolna i górna odrobiona jest jednakowym sposobem na drutach, tylko część środkową robi się w każdym, innym ściegiem tunetańskim. Górną część zaczyna się na drutach cienkich drewnianych, na o. 44 i obrabia 19 razy w koło, naprzemian 2 o. gł. 2 kręto; potem 11 razy naprzemian kręto i gładko. Teraz zaczyna się klinik na kolano, od 6 o. środkowych, który robi się jak piętę tam i napowrót, lecz zawsze gładko 16 razy, przybierając na końcu każdego druta 1 o. więcej tak ażeby w 16 rzędzie mieć o. 22; poczem znów w koło 14 razy naprzemian kr. i gładko. Teraz obrabia się o. łańcuszkiem, szydełkiem i zaczyna zaraz środek szydełkowy, ściegiem tunetańskim, 20 razy tam i napowrót równo, potem w 8 końcowych obrobieniach, gubi się o. 8, raz na początku drugi raz na końcu rzędu.

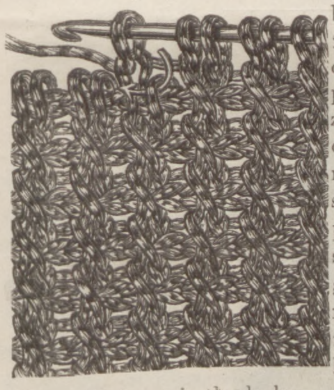


N. 20. Włóczkowy rękawek. Patrz ryc. 21—22.



N. 23. Kosz do robót lub negliżyków. Patrz ryc. 24.

Potem znów oczy nabiera się na drut, obrabia 2 razy kręto przybrawszy co 4 oczy jedno, następnie 24 razy w koło, zawsze 2 o. kr., 2 gł. a w dalszych 17 obrobieniach, odlicza się z tyłu 28 środkowych o. na piętę, przy których z obudwóch stron przybiera się co drugie obrobienie na klinik robiony gładko. Nakoniec zakończa się piętę i klinik a na część przednią obrabia się jeszcze tam i napowrót 22 razy, gubiąc na początku i końcu druta po 1 o. tak ażeby w dwóch ostatnich obrobieniach pozostało tylko o. 6, które się zakończa i kamasz ząbeczkami szydełkowemi obrabia. Robotę szydełkową trzeba zeszyć nieznacznie z lewej strony, u dołu przyszyć strzemiączka skórzane.



N. 26. Wykonanie tła do kaftanika ryc. 29 i rycina 7 w N-rze 48.

Na ryc. 12, środek kamasza robiony jest ściegiem rzadkim, podług ryc. 27, cały kamasz jest z włóczki białej tylko kręte obrobienia są czarne, a muszki na tle szydełkowem wyszyte włóczką popielatą i czarną.

Kamasz przedstawiony na ryc. 13, jest cały z włóczki brązowej, a część środkowa odrobiona ściegiem tunetańskim krzyżowanym, podług próbki ryc. 23.

N. 14—16. Koszyczek do kluczy z lambrekiną haftowaną kolorowym kordonkiem.

Materyjał: Sukno białe, jedwab kordonkowy kolorowy, guziczki płaskie blado niebieskich, takiż jedwab, sznureczek złoty, 2 cent. szeroka wstążeczka niebieska w atłasie, 2 kawałki atłasu niebieskiego lub białego 14 cent. długie a 4 1/2 szerokie.

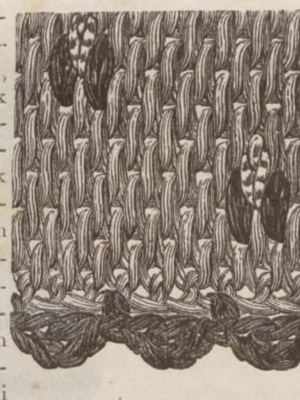
Koszyczek z białej lakierowanej trzciny ze złoconemi nóżkami i pałączkiem ozdobiony jest dwoma w zęby wyciętemi lambrekinami z białego sukna, na środku których wyhaftowana gałązka kwiatów, jedwabiami kolorowemi do cieniu. Szlaczek z brzegu wyszyty podług ryc. 15 lub 16 jedwabiem blado niebieskim i różowym, odznaczony sznureczkiem złotym, czarno przeszywanym, i ozdobiony płaskiemi, szmuklerskiemi guziczkami. Z boków pomiędzy niedochodzącemi lambrekinami, ułożone w przeciwne fałdy bufki z atłasu; u góry wachlarzowo układana riusza ze wstążki, z której także dane kokardy przy pałączku.



N. 19. Chustka siatkowa. Patrz ryc. 19 w N-rze 48.

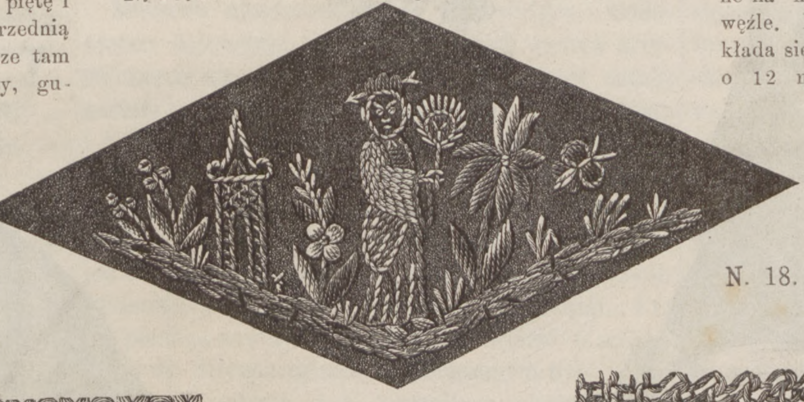
Numer 17. Frendzla z siatkowym nagłówkiem, do ozdoby sukien, okryć lub t. p.

Pierwsze obrobienie siatki włóczkowej, najlepiej przyrabiać dużą igłą od krzyżowej roboty lub do wązkiej torsadeczki. Dwa pierwsze rzędy robi się na wałeczku wełnianym, rzęd trzeci służący za podstawę kuleczkom i kwaścikom z włóczki Mochair na deseczce cienkiej 8—10 cent. szerokiej, z włóczki podwójnej. Te długie oczy przecina się u dołu, potem związuje w górze po 3 promienie razem na supeł; 1 do 1 1/1 cent. niżej, zawiązuje się jeszcze drugi supeł a następnie na tych przewiązaniach, układa się kuleczki z wąziutkiej nieprzecinanej frendzelki, której koniec i początek przyszyty jest do supłów. Na kulki i kwaściki bierze się 12 nitek włóczki Mochair, frendzelkę robi się na grubym drucie stalowym, do przewiązywania służą dwa cieniutkie druciki, przekładane na krzyż po każdym węźle. Na kwaściki przykłada się 2—4 promieni o 12 nitkach do nitek siatki, przewiązuje mocno w 2 lub 3 równych odstępach a następnie przecina i rozczesuje.



N. 27. Ścieg ażurowy do kaftanika ryc. 29.

N. 18. Krawatka z włóczki kamelorowej robiona na drutach.



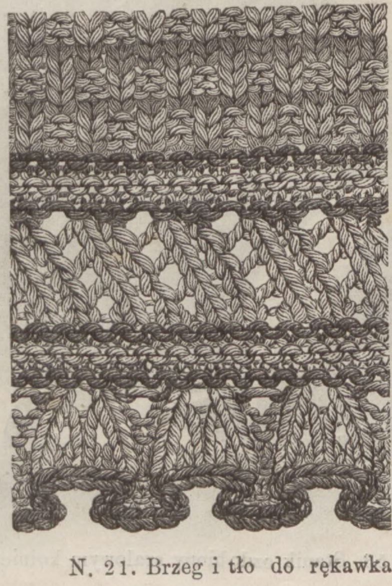
N. 24. Haft jedwabiami do ryc. 23.

N. 19. Chusteczka siatkowa. Przód i opis ryc. 19 w N. 48.

N. 20—22. Rękawek włóczkowy robiony na drutach.

Materyjał: Na parę potrzeba około 40 gramów włóczki białej i 4 gramy czarnej.

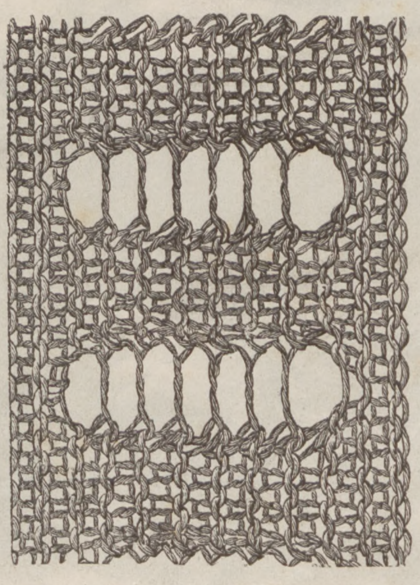
Rękawek zaczyna się od góry na o. 56 i robi w koło jak pończocha, rodzaj roboty górnej części zbyt jest łatwy ażeby potrzebował szczegółowego opisu. W górnym pasku są dziurki do nawleczenia elastyki, a kolory zmie-



N. 21. Brzeg i tło do rękawka ryc. 20.



N. 22. Listek do ozdoby rękawka ryc. 20.



N. 26. Tło robotą drutową do chustki ryc. 12 w N. 48.

niają się naprzemian; środek paska biały, brzeg taki jak początek, a bufka górna cała biała robi się sposobem wskazanym w górnej części próbki ryc. 21.

Za bufką pasek odrobiony podług środkowej części tejże próbki, a nakoniec druga bufka i karbowana falbanka k t ó r e opiszemy szczegółowo. Robiąc pasek dolny przy bufce wygubia się stopniowo w równych odstępach liczbę o. do 40. Dolna bufka złożona z pięknych liści wypukłych i tła robionegokręto, liczy w koło 10 takich liści a robi się w sposób następujący:

Rzęd 1 * 3 o. kr., 1 przybrać, 1 gł., 1 przy., powtarzać od *. Rzęd 2. * 3 o. kr., 3 o. gł. powtarzać od *. Rzęd 3. * 3 kr., 1 przy., 3 gł., 1 przy. powtarzać od *. Rzęd 4. * 3 kr. 5 gł. od *. Rzęd 5. * 3 o. kr. 1 przy. 5 o. gł., 1 przy. powtarzać od *. Rzęd 6. * 3 kr. 7 gł. powtarzać od *. Rzęd 7. * 3 o. kr., 1 prz., 7 o. gł. 1 przy. od *. Rzęd 8. * kr. 9 gł., od *. Rzęd 9. * 3 kr. 1 prz. 9 gł. od *. Rzęd 10. * 3 o. kr., 11 o. gł., od *.

(dok. nast.)



N. 28. Kaftanik ozdobiony szlakiem w muszki. Patrz ryc. 8 w N-rze 48.



N. 30. Kaftanik sukienny dla dzieci.



N. 29. Kaftanik z ażurowym szlakiem. Patrz ryc. 26—26.



N. 31. Ubranko z liści.



N. 32. Zarzutka z chustki koronkowej.



N. 53. Stanik ozdobiony szalowym kołnierzem. Całość sukni patrz ryc. 4.